Nr. 45 (1245). Warszawa, 23 Października (5 Listopada) 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.

z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. **50**, rocznie rb. 10

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Komisya śledcza.

Wypadek z nocy 21 na 22 października na morzu Północnem ma niewiele do siebie podobnych w dziejach zatargów międzynarodowych. Dwa nagle wtrącone w ten zatarg narody, coprawda, nie pałają ku sobie silnem ogólnieludzkiem współczuciem, ich państwa rozwijają się według typów biegunowo sobie przeciwnych, ich mocarstwa, zagarniając pod siebie coraz większe obszary globu, współzawodniczą z sobą i ścierają się w chwilach większego napięcia energii w sposób niezupełnie przyjacielski; ale ich rządy mimo to żyją z sobą w zgodzie, a jakkolwiek wobecnej wojnie japońskiej Anglia nie przestaje być dla Rosyi możliwą w przyszłości aliantką Japonii, zachowanie się jej przecież dotychczasowe nie dawało gabinetowi petersburskiemu powodu do wystąpienia nieprzyjaznego. Oba rządy, przepłynąwszy szczęśliwie przez mieliznę „Smoleńska" i „Petersburga", utrzymywały stosunki zupełnie prawidłowe; rosyjski zwłaszcza nie podejrzewał Anglików o wspomaganie Japonii w jakikolwiek sposób i jakiemikolwiek środkami, gwałcącymi neutralność.

Ciszę zupełnej równowagi dyplomatycznej obu gabinetów przerwały nagle strzały, według urzędowej depeszy admirała Rożestwienskiego dane do dwóch torpedowców, które płynęły prosto ku flocie rosyjskiej, według sprawozdań angielskich, do statków rybackich, zajętych połowem. Na wsparcie swego przeświadczenia admirał Rożestwienskij ma oficerów w Vigo, ma zwłaszcza jednego, który twierdzi, że jakikolwiek będzie wynik ostateczny zatargu, fakt strzelania do torpedowca (lub przeciw torpedowcom) dla niego i dla innych pozostanie niewzruszonym; ma norweskiego kapitana Hansena; ma wreszcie opinię publiczną swego narodu, która w prasie półurzędowej, chwyta istnienie statków w danym czasie i miejscu bądź japońskich bądź angielskich, ale nieprzyjaźnie usposobionych, jako pewny już dowód, że sprawa rosyjska jest dobrą i Rosya wygrać ją musi. Ze swej strony znowu ministrowie angielscy nie wątpią, że jeśli chodzi tylko o dobroć sprawy, to fakta same wystarczą do jej wykazania, a stwierdzenie tych faktów przedmiotowe po dwustronnym przewodzie sądowym, w formy sądowe ujętym, nie zostawi już miejsca na mniemanie, jakoby statki rybackie wzięły między siebie torpedowce, a wskutek tego słusznie ściągnęły na siebie gromy dział.

Elementów logicznych do takiego przeświadczenia dostarczyć może tylko jakaś magistratura wspólną wolą wytworzona, w szczególności przez akt konferencyi 1899 roku w Hadze przewidziana, komisya śledcza. Nie ma ona być bynajmniej sądem cokolwiek rozstrzygającym; ma tylko wyjaśnić fakta sporne i obu stronom wyjaśnienie to przesłać do dalszego użytku, takiego, jakie każda z nich za najstosowniejszy dla siebie uzna. Zastrzeżenie to wyraźnie uczynili pp. Balfour i Lansdowne; za zbyteczne nawet uznał je hr. Lamsdorff, upoważniając posła w Londynie, hr. Benckendorffa, do zaproponowania komisyi w d. 28 października. Propozycya z góry liczyć mogła na przyjęcie, właściwie była już przyjętą, zanim jeszcze na progu londyńskim stanęła. Rząd angielski, niezmiernie powściągliwy, więcej dla uśmierzenia opinii, mocno wzburzonej, niż dla rzeczywistego nacisku w układach zarządził był mobilizacyę floty i zgromadził ją już nawet u Gibraltaru; właściwy jednak trakt jego woli wiódł przez niwy spokojnych układów do zgodnego nadal pożycia w pokoju. Podobno to usposobienie wzmocnił w nim p. Cambon, pobudzony przez p. Delcasségo, ale o rozmiarach, a więc i doniosłości, o samej niezawodności *bons offices* francuskich dopiero historya powie rzeczywistą, do rzeczywistej zbliżoną, prawdę: szumne hymny dzienników paryskich są dymem bez ognia.

Głównem zadaniem komisyi będzie rozwiązanie tezy adm. Rożestwenskiego jako wątpliwości: czy rzeczywiście były i czyje te torpedowce, które dały podnietę do strzałów? Państwom zdającym się na komisyę służy prawo określenia szczegółowych przedmiotów śledztwa, tj. pytań, jakie stawiać wolno; niepodobna jednak przypuścić, aby komisya, w obecnym wypadku już postanowiona, mogła być tak opisaną, żeby nawet kwestyę powyższą z obrębu jej działalności usunięto. Niepodobna tego przypuścić, gdy się zważy głosy ministrów angielskich, zwłaszcza mowę Balfoura w Southampton d. 28 z. m., uznającą podanie o torpedach za bajkę. Mianowanie samej komisyi teraz się właśnie dokonywa, a idzie z wielkim mozołem, skoro do dnia 2 b. m. zaledwie zdołał hr. Lamsdorff ułożyć (dnia 30 października) warunki zasadnicze dla działań komisyi, a ułożyć jednostronnie dopiero, bez zgodzenia się jeszcze Anglii. O osobach nic niewiadomo. Członków komisyi każda strona wybiera według swego upodobania: ale przewodniczący, mający rolę superarbitra, niełatwo wyjdzie ze wspólnej urny wyborczej. Akt w Hadze przewiduje zupełne wyrzeczenie się wyboru przez same strony i zdanie go na dwa

państwa, pojedynczo przez każdą z nich, bez wpływu drugiej wybrane.

**

List z Wiednia.

w końcu października.

Jest obecnie w Europie dwóch demagogów, którym się w życiu powiodło i którzy, zacząwszy z niczego, po karkach tłumu wspięli się na najwyższe stanowiska: angielski minister kolonij, Joe Chamberlain i wiedeński burmistrz, Karol Lueger. Dawniej obiecanym krajem takich ludzi była Francya, dziś, po Napoleonie III i po Boulangerze, zdaje się, że i tam piękne ich dni się skończyły. Prawda, jest jeszcze ksiądz Stojałowski, ale cóż? temu się niezbyt wiedzie, wogóle prowadził on grę zbyt małą— o zbyt nędzne „marki"— żeby mógł coś znaczyć w tej kompanii. Gdzie niema jeszcze wcale ruchu ludowego, albo nie może on się objawiać w formach publicznej wymiany myśli, a więc i publicznego kursowania „sławy," tam demagogów *jeszcze* być nie może. Gdzie istnieje silne i świadome stronnictwo ludowe, tam demagogom *już* za ciasno. Natomiast w krajach, gdzie masy są mało albo półwykształcone i mają niezbyt jasno określone dążenia, a stronnictwo szczerze demokratyczne, które spokojnie kierowałoby niemi ze świadomością celu i trudności drogi, nie może jeszcze należycie się rozwinąć, tam dla demagogów grunt najpomyślniejszy, istny raj; i rzecz oczywista, tam też dla stronnictwa takiego stanowią oni jedną z największych przeszkód i są przedmiotem namiętnej pogardy i nienawiści.

Właśnie w takiem stadyum znajdują się dzisiaj, choć z bardzo odmiennych powodów i w innych formach, Anglia i niemiecka Austrya. W Anglii rozproszenie, nieuświadomienie, łatwowierność mas ludowych stąd pochodzi, że ruch najważniejszej warstwy pracującej ma wielką przeszłość za sobą, a obecnie przechodzi okres pewnego rodzaju wzburzenia, ograniczenia ekonomicznego i braku samodzielnych haseł politycznych. W Austryi rzecz się ma całkiem inaczej: tu warunki ogólno-państwowe nie pozwalają temu stronnictwu wykonywać żadnej konkretnej, praktycznej roboty politycznej, którąby mu mogła zapewnić wpływ na warstwy pośrednie, a przytem cudacki system kuryalny oddziela te warstwy od wszelkiego wpływu z zewnątrz, sztucznie je zamykając i wyodrębniając..

To też i Chamberlain jest doprawdy innym, stokroć bardziej „europejskim" demagogiem, niż p. dr. Lueger. Zapewne, cechy zasadnicze mają oni wspólne, wszelkiego właśnie demagoga charakteryzujące: wyzyskiwanie niejasnych instynktów tłumu, jego kłopotów i cierpień, w celu zahypnotyzowania go, skierowania wyłącznie jego uwagi na jednego, niejasno określonego wroga, przesadnie kreowanego jedynym, i na jeden, błyskotliwie przedstawiony, również mglisto określony cel, wznoszenia się przy pomocy tego wzburzonego tłumu na jak najwyższe stanowisko, a później — porzucanie dawnych przedmiotów walki, tak stopniowe i zręczne, że zbałamucony tłum nie spostrzega tego — przynajmniej do końca życia demagoga. Chamberlain bądź co bądź wykonał pewną pracę umysłową i historyczną, zadał sobie trud choć jakiego takiego sformułowania mglistych pretensyj i pragnień warstw średnich i niższych; uczucie patryotyzmu, jedności narodowej, na którem się opiera, choć skarykaturowane i szowinistyczne, jest uczuciem nowożytnem. Lueger pod względem umysłowym stoi znacznie niżej od niego: nie potrzebował on nic stworzyć, żadnego hasła formułować, poprostu, gdy obniżenie cenzusu wyborczego na 5 złr. rocznie wprowadziło nagle na scenę polityczną masę drobnych kupczyków i rzemieślników, porzucił on czemprędzej swój dawny sztandar niemiecko-liberalny i podniósł do wysokości programu — ignorancyę oraz brutalność majsterka, wymierzoną przeciw obcym i przeciw pracującym, strach zabobonny przed „pieniądzem" i zawiść dla jego przedstawicieli, wreszcie ograniczony, choć dobroduszny fanatyzm proboszczów wiejskich. W ten sposób powstało stronnictwo antisemickie, nazywające samo siebie chrześciańsko-socyalnem, którego z początku, pod wpływem gadaniny gazet liberalnych, całkiem bezzasadnie obawiały się sfery dworskie i rządowe. Albowiem to stronnictwo „chrześciańsko-socyalne" nie ma absolutnie nic wspólnego z ruchami chrześciańsko-demokratycznymi, dziś już wszędzie zresztą prawie przebrzmiałymi, które w Niemczech jednak, we Francyi, w Ameryce — miały do czynienia z nowożytną, szeroką warstwą ludową i choć trochę stosowały się w swych hasłach, taktyce, tonie do jej położenia i skłonności żywiołowych. Nie: tutaj stronnictwo chrześciańsko-socyalne bardzo prędko — skoro tylko Lueger osiągnął nareszcie burmistrzostwo — okazało się tem, czem było od początku: najbardziej brutalnem, bezwzględnem i krzykliwem stronnictwem *wsteczniem* w zakresie tak społecznym, jak kulturalnym i politycznym. Lueger jest najbardziej czarno-żółtym, najlojalniejszym ze wszystkich polityków austryackich, nie wyłączając nawet ministrów wojny...

Piszę to wszystko z okazyi sześćdziesiątych urodzin burmistrza, które tu były wielką uroczystością i na które, choć rząd powstrzymał się od udziału w ich obchodzie, arcyksiążę następca tronu i jego małżonka, ks. Hohenberg, przysłali Luegerowi manifestacyjne, entuzyastyczne telegramy, a papież — błogosławieństwo... Obchód miał być wspaniały, miał dowieść, że były adwokacik bez praktyki, który dzięki systemowi kuryalnemu, niedopuszczającemu do wyborów mas ludowych, zdołał obsadzić swymi wiernymi całą prawie radę i sejm dolno-austryacki, jest w tym kraju ubóstwianym, niepodzielnym panem. Ale opary wielkości zawcześnie jakoś uderzyły mu do głowy, czy też może chciał swym podkomendnym dać ostrogę, zachętę do walki: dość, że w sejmie publicznie, całe wrogie sobie stronnictwo demokratyczne nazwał — *Lumpen*, szubrawcami, nędznikami. To wywołało szalony, żywiołowy wybuch oburzenia.

Obelga została podchwycona i jak niegdyś *gueux* przez Holendrów — przyjęta za miano zaszczytne, wyzywające. Zapowiedziano także kontrmanifestacye. Pan burmistrz, nie mogąc się zdobyć na cofnięcie obelgi lub słówko usprawiedliwienia, wolał pokryjomu porozumieć się z ministrem i uzyskać od niego — niby wbrew własnemu życzeniu — zakaz pochodu z pochodniami, który miał być urządzony na jego cześć. Nic to jednak nie pomogło, i w ubiegłą niedzielę, gdy mu swoi winszowali, odbyła się przed ratuszem na Ringstrasse tak olbrzymia manifestacya przeciw niemu, jakiej Wiedeń nigdy, nawet za czasów walki przeciw Badeniemu, nie widział. Półurzędowy *Fremdenblatt* oblicza ilość manifestantów na 40,000, ale było ich z pewnością półtora raza tyle. Ratusz otaczały tysiące policyi. Ale tłum trzeba było zostawić samemu sobie; okazał on taką karność, że na znak swych porządkowych rozstępował się i dawał przejście powoli posuwającym się tramwajom, a na komendę wodzów rozszedł się. Do okien burmistra leciały okrzyki niesłychanej nienawiści...

Manifestacya ta ma jeszcze znaczenie pod tym względem, że była jedyną formą, w jakiej w Wiedniu mogło się wyrazić dążenie do akcyi energiczniejszej, które w ostatnich czasach ogarnęło całe stronnictwo demokratyczne w Austryi. Gdzieindziej występuje ono w formie intensywniejszej walki o głosowanie powszechne do sejmów. Tu, w Dolnej Austryi, nie mogło być o tem mowy: sejmem tym wszechwładnie rządzi większość luegerowska, z $^4/_5$ posłów złożona, niemająca z kim się liczyć, zbyt świadoma swych bezpośrednich interesów, żeby chciała naruszyć swój bezpieczny i wygodny system kuryalny. Coś podobnego, choć w formie mniej skandalicznej, zachodzi w sejmie galicyjskim, gdzie też, jak wiadomo, z całym spokojem pogrzebano wnioski ludowców polskich i Rusinów o wprowadzenie głosowania powszechnego. Lud ma przedstawicielstwo w „obcym" parlamencie państwowym, nie ma go we własnym sejmie krajowym: poglądowa lekcya patryotyzmu... Natomiast w Czechach, a szczególniej na Morawach, ostre, gwałtowne demonstracye pod hasłem głosowania powszechnego zostały uwieńczone pewnym skutkiem. W Brnie morawskiem przyjęły one nawet formy, w przyzwoitej Austryi zupełnie niezwykłe: na rynku, na latarni, powieszono... lalkę, przedstawiającą b. prezesa parlamentu, przywódcę magnatów morawskich, bar. Chlumecky'ego!.. Sejm pod naciskiem z dołu ustąpił nieco, zgodził się na wprowadzenie wyborów bezpośrednich oraz tajnych i mianował komisyę w celu wypracowania projektu rozszerzenia prawa wyborczego.

O „rekonstrukcyi" gabinetu p. Koerbera pisać jeszcze nie czas, bo niewiadomo, jakie będą jej następstwa. Prezes ministrów mógł przez lat kilka znosić spokojnie obstrukcyę czeską i załatwiać „konieczności państwowe" zapomocą rozporządzeń cesarskich, ale teraz potrzebuje milionów na uchwalone przez delegacye powiększenie marynarki, a te — tylko parlament zatwierdzić może. Stoi więc przed wielkiem zadaniem — ugłaskania Czechów, a nie rozgniewania Niemców; zaczął od ponownego wprowadzenia czeskiego „ministra-rodaka" do gabinetu. Czy mu się przedsięwzięcie uda? Zobaczymy. Partye narodowościowo-mieszczańskie wiele krzyczą, ale być może żadna nie zechce poważnie zagrozić państwu i narazić się — koronie. I Czesi przez tę marynarkę przyparci są do muru. Świeżo jednak spotkała ich narodowość nowa krzywda, która dowiodła, że Austrya, jako państwo, nie chce uznać praw narodowości ani jako żywych, z ich nowoczesną rozciągłością, ani jako historycznych, ze staremi prawami, robiąc wyjątek tylko—dla Niemców. Mianowicie szło o czeskie szkoły elementarne w Wiedniu. Mieszka tu 150,000 Czechów — oficyalna statystyka podaje 102,000 — i mieszka nieprzypadkowo, lecz dlatego, że wielki przemysł i siedziba centralnych urzędów przyciągają ludność z bliskich Czech. Czesi więc, i to bez różnicy stronnictw, żądają, żeby płacąc podatki krajowe, mieli również dla dzieci swych z pieniędzy krajowych szkoły, w których te dzieci nie byłyby zmuszane germanizować się wzamian za naukę. Ale Niemcy odmawiają im tego, jeden tylko dr. Wiktor Adler, redaktor *Arbeiterztug*; przemawiał za tem, gdy był posłem do sejmu. Rada szkolna krajowa i ministeryum oświaty odrzuciły podania rodziców czeskich. Odwołano się do najwyższego trybunału państwowego. Ale naprożno trzech adwokatów dowodziło, że brak szkół czeskich uniemożliwia wykonanie § 19 konstytucyi, poręczającego wszystkim narodowościom swobodny rozwój; że Czechów jest w Dolnej Austryi 7% ludności, a tymczasem Niemcy, którzy wszędzie mają szkoły publiczne, stanowią w Krainie 6%, na Pomorzu austryackiem 3%, w Tryjeście jest ich 9 tysięcy; ba! w Galicyi jest Niemców

3%, a jednak sąd najwyższy uznał, że język niemiecki jest i tam jednym z języków krajowych!! Nic nie pomogło: trybunał skargę odrzucił, ponieważ Czesi nie są osiedli w Austryi Dolnej, jako szczep, historycznie... Ma się rozumieć „historyczne“ prawa w całem państwie czarno żółtem mają tylko Niemcy, jako zdobywcy.

Jeszcze jedna rzecz b. charakterystyczna: Berlińskie, poważne pismo ekonomiczne *Plutus*, pomieszcza uwagi krytyczne o tutejszej giełdzie, a w szczególności o niebezpieczeństwie, jakie dla niej stanowią spekulanci-dziennikarze. Każdy dziennik posiada redaktora działu ekonomicznego, który pisze również sprawozdania giełdowe. Każdy większy bank, towarzystwo asekuracyjne, kolej żelazna itp. pomieszcza w tych dziennikach różne komunikaty i ogłoszenia, za które płaci nie detalicznie, lecz hurtownie, pewną sumę rocznie, t. zw. Pauschale. Suma ta jest tak suta, że stanowi właściwie łapówkę za poparcie dziennika, objawiające się w artykułach pomieszczanych, krytykach niepomieszczanych itd. Otóż dawniej sumy te szły, przynajmniej w części, do kieszeni redaktorów działów ekonomicznych; obecnie wydawcy pism zagarnęli je całkowicie dla siebie. Panowie referenci ekonomiczni musieli więc szukać sobie jakiegoś odszkodowania. Znaleźli je w grze giełdowej na własną rękę. Tu nietylko zużytkowywują informacye, otrzymywane dla swej gazety i dopiero później w niej ogłaszane, lecz grają na pewnym papierze, nie czekając informacyi, a potem, jeśli informacya otrzymana sprzeciwia się interesowi gracza-sprawozdawcy, to przemilcza o niej lub ogłasza coś wręcz przeciwnego. Są banki komisyjne, które zajmują się specyalnie kupnami i sprzedażami tych panów; rzecz to tak znana, że wszyscy na giełdzie nazywają je „bankami dziennikarskimi,“ a ich urzędników — „woźnymi redakcyjnymi.“ Gdy taki dziennikarz zakupił dostateczną ilość jakichś papierów, to w swym dzienniku zamieszcza — między innemi — nieśmiałą pochwałę tego papieru; nazajutrz pojawia się śmielsza, głośniejsza w jakimś dzienniku prowincyonalnym, którego ten sam pan jest korespondentem, i to się znów przedrukowywa w Wiedniu. Czasem uda się pomieścić większą korespondencyę w tymże duchu w jakimś dzienniku berlińskim, co wywiera tu zawsze wielkie wrażenie. Publiczność zachęcona zaczyna kupować — a pan od prasy sprzedaje wtedy czemprędzej, korzystając z'zwyżki, wywołanej własnymi manewrami?

Arbeiter, przytaczając to odkrycie *Plutusa*, pytała, czy też wielkie dzienniki tutejsze przyjmą w milczeniu ten policzek? Minęły dwa tygodnie: — nikt się nie odezwał. Ale na kongresach i innych szopkach śmią gadać o — honorze prasy.

zz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Przewidywane uspokojenie wzięło na się postać śledztwa, które na mocy artykułów w Hadze przeprowadzi komisya przez oba rządy wyznaczona. Nie trzeba wszakże tej komisyi brać za jedno z sądem rozjemczym; może się ona w sąd zamienić, może w innym składzie sąd już od osób jej niezależny, śledztwo jej do zawyrokowania otrzymać; ale w tej chwili ze stosu bałamutnych depesz to tylko naprawdę powiedzieć można, że będzie śledztwo dla wykrycia winy. Admirał Rożestwenskij, rezydujący obecnie z częścią swej floty w hiszpańskiem Vigo, obstaje przy dwu torpedowcach, które prosto na niego szły, a mogły być tylko japońskimi; Anglicy twierdzą, że tam, gdzie admirał obsypał granatami swymi łodzie rybaków z Hull, nie było nic więcej — prócz łodzi rybaków z Hull.

Do wieczora d. 31 z. m. komisya śledcza była jeszcze marzeniem dyplomacyi angielskiej. Nie porozumiano się jeszcze do tego dnia o osoby, miejsce i czas. Usłużne dziennikarstwo podsuwało już komisyę z Francuzów i Niemców; prawdopodobne ze strony Rosyi jest zamianowanie Martensa, prócz jeszcze innych. Anglii nie braknie ludzi biegłych w zwyczajach międzynarodowych, zwłaszcza morskich, a przytem wprawnych w postępowanie sądowe. Miejscem zebrania się komisyi powinien być port angielski najbliższy miejscowości wypadku (Daggerbank, ławy piaszczyste, przeszło o 200 mil morskich na wschód od Hull). Czas, dla Rosyi ważniejszy niż dla Anglii, zapewne odmierzony będzie tak, aby z początkiem przyszłego tygodnia komisya swoją jurysdykcyę śledczą ufundować mogła. Śledztwo odwróciło wprawdzie wojenną demonstracyę Anglii, która bardzo żwawo zabierała się do niej, mimo owej wspomnianej tu uprzejmości, ale zmusiło jednocześnie Rosyę do zatrzymania części floty, tej, która strzelała lub asystowała strzelaniu bezpośrednio, na wodach europejskich, co samo przez się już opóźnia dopłynięcie całej armady adm. Rożestwienskiego do celu.

Druga część, mniejsza, zawinęła już do Tangeru, z widocznym zamiarem przepłynięcia przez Suez, a nie naokoło Przylądka Dobrej Nadziei, co głoszono, a co tylko w ostateczności sprawdzić się mogło, gdyby mianowicie m. Śródziemne i Czerwone przedstawiały, wskutek nieżyczliwości angielskiej, warunki mniej dogodne dla żeglugi, niż droga dalsza, burzliwsza, ale pewniejsza. Owe dni 50, wyznaczone tu jako *minimum*, przy najszczęśliwszych powiewach losu na żeglugę przez Suez, musiałoby się od daty wypłynięcia z Rewla (14 lub 15 października) zdwoić, gdyby po owej zwłoce śledczej wypadło ostatecznie zaniechać zamiaru, ujawnionego przez zawinięcie do Tangeru i opływać południowe obszary Atlantyku i oceanu Indyjskiego.

W Mandżuryi d. 27 z. m. Japończycy, wzmocnieni znacznie, rozpoczęli działania na linii, jaką obie strony zajmowały przed imprezą zaczepną gen. Kuropatkina w d. 9 z. m. (drobne ruchy rozpoczęły się już d. 4 z. m.). Całe to wystąpienie jako rzeczywisty zysk przyniosło w d. 16 z. m. jedynie tylko zajęcie owego wzgórza „Putiłowskiem“ przezwanego, na południowym, lewym brzegu Sza-ho, na którem Rosyanie znaleźli 1,500 trupów japońskich. Obecne nacieranie Japończyków dało im w samym początku korzyść równoległą do rosyjskiej: zajęcie wzgórza nawprost Fön-hia-pu, nad tą samą rzeką. Na wschodzie zajęli „Waoteszan.“ po rozprawie, w której sami utracili 170 ludzi zabitych i ranionych. Bitwa wielka, nawzór bitew pod Liaojangiem i nad Sza-ho, niezawodnie się już toczy. Japończycy, nacierając, musieli przekroczyć rzekę dla wparcia Rosyan do Mukdenu. W dążeniu do tego celu ważne zadanie będzie miała większa siła japońska, rzucona od zachodu między Sa-ho i Hun-ho.

Pod Portem Artura Japończycy po długiej przerwie, sprowadziwszy wielkie działa, a wysłaną do Ojamy dywizyę zastąpiwszy świeżem wojskiem, zaatakowali (27 z. m.) fort Erluszan na zachodniej części terytoryum portowego, na północo-zachód od portu. Zajęcie to wzmacnia znacznie posiadanie dwu fortów terytoryum wschodniego, Paliczuanu i Kuropatkina i pozwala przewidywać bliski upadek Anczanu. Ogromna, nadzwyczaj silna warownia, mając forty bardzo liczne na obu terytoryach w stronie północnej, nieprędko jeszcze znalazłaby się w konieczności, jaką dyktuje przemoc, gdyby nie osłabienie garnizonu, według urzędowego doniesienia nieliczącego nawet 6,000 i niedostateczny zapas amunicyi, widoczny z chwytanych przez Japończyków dżonek.

Admirał Aleksiejew nietylko główne dowództwo na lądzie i morzu, ale i samo namiestnictwo Dalekiego Wschodu składa. Porozwiązywał już sztaby, kancelarye, pożegnał armię i dnia 30 października wyjechał do Petersburga.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

Na wszystkich drogach większych, w okolicach ruchliwszych podrzędniejsi urzędnicy za małą opłatę, złożoną swej zwierzchności, urządzają rogatki, na których każą płacić dowolne zupełnie cła. Ten sam pan Hunt podaje, że w prowincyi Kiön-san-do było ich 17, na rzece Nak-ton-gan znajdowało się aż *cztery*, że port Fuzan był otoczony *10 rogatkami*, tworzącemi łańcuch nie do przebycia. W Genzanie istniała taka rogatka na samej przystani. W Fuzanie w 1893 r. pod pozorem popierania handlu morskiego, budowy dżonek, portów, składów, przystani, założyli urzędnicy korejscy Towarzystwo ubezpieczeń. Miało ono również pośredniczyć w handlu cudzoziemców z krajowcami, załatwiać spory i naznaczać ceny. Rozumie się, że kupcy japońscy i europejscy nie przyjęli tego pośrednika, którego zalety dobrze im były skądinąd znane. Zato kupcy korejscy muszą wszyscy płacić daninę temu nowemu gniazdu rozboju urzędniczego, wykupywać od niego świadectwa, pozwolenia i załatwiać przez niego większość swych interesów [1]).

Sami Korejczycy przypisują zupełny zanik przedsiębiorczości u swych rodaków, upadek handlu, rzemiosł, sztuki, wiedzy tej podejrzliwej, łupieżczej opiece urzędników. Gdym pewnego, światłego Korejczyka spytał o powód zupełnego zniknięcia świetnych niegdyś gałęzi przemysłu, odpowiedział mi smutnie:

— Widzi pan... Prawda, mieliśmy niegdyś zdolnych rzemieślników i artystów, którzy wyrabiali piękne rzeczy z porcelany, drzewa, laki i kości, ale zgubili ich... szlachta i dygnitarze. Zapraszali oni do siebie na dwór takiego słynnego majstra, a gdy nie chciał przyjść dobrowolnie, przyprowadzali go przemocą i kazali mu wyrabiać piękne rzeczy... Przez zazdrość, aby innym nie robił albo, żeby nie uciekł, trzymali go, jak w więzieniu. Musiał całe życie nieraz tak pracować... Nie płacili mu, a gdy źle zrobił, bili go... Skutkiem tego człowiek zdolny zniechęcał się do swego zajęcia, często przeklinał swój talent i nie chciał nikogo nauczyć swych tajemnic, mówiąc synom i uczniom: „Zostańcie lepiej prostymi i ciemnymi chłopami: moja wiedza i umiejętność jest mojem nieszczęściem!..“ Dlatego znikli u nas mistrzowie albo uciekli do Japonii..

Ani chwili nie wątpię, że tak istotnie było niegdyś w Korei i dziś poniekąd jest tak samo. Strach przed urzędnikami kazał kryć się z zamożnością, co doprowadziło do zaniku potrzeb wśród ludu. Czy ta rozległa organizacya urzędnicza, bardzo sprężysta w nadużyciach, daje wzamian choć względne bezpieczeństwo obywatelom? Bynajmniej! Rozboje, oszustwa, kradzieże są w Korei na porządku dziennym, a sądy do tego stopnia przekupne i bezczelne, że ten sam światły Korejczyk powiedział mi o nich:

— W Korei prawo istnieje tylko dla bogatych. Bogaty może zabić człowieka i sądy uwolnią go za pieniądze, a człowieka niewinnego, jeśli nie ma czem się opłacić, aresztują i na pewno skażą!..

Dla charakterystyki stosunków policyjno-sądowych przytoczę następujący urywek o rozbójnikach korejskich z miesięcznika, wydawanego w Seulu:

[1]) Report on the Trade of Corea for the Year 1893, str. 5—7, cytow. według „Opisu Korei,“ cz. II, str. 260.

„Ze wszystkich stron dochodzą wieści o wielkiej liczbie rabusiów (kan-doe) i złodziei (to-tok-nomi). Ich posterunki znajdują się głównie w wielkiej ilości koło stolicy, przy drogach, po których jeżdżą handlujący; z nich to opryszki ciągną, co mogą. Tegoroczny raport nosi zwykły charakter. Istotnie, co rok, jakiekolwiek są zbiory, liche czy obfite, ci ludzie ukazują się, jak tygrysy, wichrem zimy wypędzone z kryjówek. Chodzą bandami, w liczbie od 30 do 90, pod wodzą przemyślnego wieśniaka, który odznacza się więcej bujną pomysłowością i sprytem w dostarczaniu potrzebnych informacyj, aniżeli męztwem osobistem. Raporty donoszą czasem, że taka banda składa się z trzystu do czterystu osób; sądzimy jednak, że tę wielką liczbę należy przypisać jedynie bujnej fantazyi Wschodu, tak u Azyatów pospolitej. Bandy działają brutalnie i zuchwale, ich wodzowie bowiem umieją zjednywać sobie przyjaciół, gdzie należy, i unikać pogoni. Opryszki lubią dzielić się na oddziałki; te, ukryte przy drogach, napadają na podróżnych, okradają ich do cna i obchodzą się bardzo brutalnie z tymi, którzy tej robocie chcą stawiać opór. Często zabierają wszystko, nawet całe ubranie. Nie cofają się też przed zabójstwem, bez względu na wiek lub płeć. Świeżo zamordowali chłopca dziewięcioletniego na drodze z Seulu do Czemulpo; miał on przy sobie zaledwie 50 centów. Być może, iż łup tak mały rozwścieklił rabusiów. Lubią również całą bandą napadać na wioski. W tym celu czekają nocy, a kiedy już wieśniacy śpią, ukazują się, donośnem uderzeniem w gong dają znak, aby nikt z mieszkańców nie wychodził z domu. Poczem banda plądruje po wszystkich z kolei, zabierając co się podoba. Przerażenie ogarnia wtedy mieszkańców, bo rabusie nie zadawalają się łupem i często puszczają wodze złym namiętnościom, okrucieństwu i rozpuście. Obciążywszy konie zdobyczą, znikają w górach przed świtem."

Korejczycy nazywają takie bandy *psuhan-dong*, czyli „niefrasobliwe" (*sweatless gangs*), dlatego, że one same nic nie robią, a korzystają z cudzego znoju. Teroryzują one całe okolice. Jak wspomnieliśmy wyżej, na gościńcu z Seulu do Czemulpo snują się gromady opryszków; drogi wzdłuż rzeki przez Kim-po, Yang-chön i Tang-jiu są pono nie do przebycia po zachodzie słońca; na traktach południowych, w biały dzień napadają na wsi i okradają ludzi; na północnych, w okolicach Pa-ju — na kupców jadących z towarami. Przed sześciu laty, przejeżdżając przez to miasto, widzieliśmy taką złowioną bandę. Przez długi czas siała ona trwogę w okolicy, rząd daremnie uganiał się za nią; wówczas rolnicy zawzięli się i udało się im schwytać sześćdziesięciu ludzi. Między nimi nie było ani jednego pięknego mężczyzny; wszyscy uderzali brzydotą i małym wzrostem; wyglądali, jak szczury w pułapce. Rzadko się zdarza, aby jaki rolnik wszedł do takiej bandy, chociaż jest mało skrupulatny, brutalny, chytry, ma jednak dość jeszcze uczciwości, by nie obdzierać w ten sposób swoich sąsiadów. „Niefrasobliwej bandzie" dostarczają członków głównie sfery graczów i kryminalistów ze stolicy oraz z większych miast; przyłączają się też do niej biedacy, którzy przez długi czas daremnie stawiali czoło nieszczęściu, aż wreszcie pokonani spadli do poziomu opryszków; znajdujemy też wśród nich wielu ludzi bezdomnych, bezpańskich, ze stolicy i z większych miast; los ich, gdy dostaną się w ręce sprawiedliwości, rozstrzyga się szybko. Śmierć ich czeka, jeśli nie znajdą dostatecznych wpływów, któreby ocalić ich mogły.

Tych wpływów w danym razie nie zabrakło. Chociaż pochwycono sześćdziesiątkę na rabunku, wypuszczono ich wszakże na wolność. Może ci sami ludzie sieją teraz ponownie strach w okolicach miasta"[1]).

„Jednocześnie urzędnicy bardzo się troszczą o prerogatywy Tronu i przestrzegają starych obyczajów..."— powiada kronikarz angielski [2]). I wszystkie swe bezprawia pokrywają tą troską. Jeśli nie zostaną zapłaceni, natychmiast występuje tysiące „starych praw" i niezłomność w ich obronie jest wprost budująca. W sprawach ważniejszych wyjeżdża na scenę miłość Tronu, ojczyzny i nieunikniona w takich razach... denuncyacya. Do tego obowiązuje obywateli prawodawstwo korejskie, jak wogóle wszystkie prawodawstwa biurokratyczne. Niewolno jednak w Korei denuncyować młodszym osobom starszych: synowi ojca i matki, wnukowi dziada i babki, czem różni się prawodawstwo tego kraju od innych, a upodobnia do prawodawstwa chińskiego. Donosiciele otrzymują nagrodę 30 do 250 sztuk tkaniny bawełnianej, zależnie od ważności przestępstwa. Wykrycie fałszerzy dokumentów rządowych daje szpiegowi prawo do majątku przestępców. Za denuncyacyę fałszywą grozi kara o jeden stopień mniejsza od kary, jakaby spadła na obwinionego.

Dzięki temu na życiu korejskiem leży smutny cień, wszystko wydaje się przygnębionem, pozbawionem wszelkiej przedsiebiorczości i chęci do życia. Najmniejsza nowość przeraża; jak zbolałe ciało lęka się najmniejszego dotknięcia, tak społeczeństwo korejskie obawia się wszelkich zmian. Wszędzie panuje nieufność i płynąca z niej obojętność. Myśl odwraca się od dalekich i rozległych planów społecznych, literatura i nauka karmi się tłomaczeniami z chińskiego; światopogląd tonie w suchych, oportunistycznych spekulacyach Konfucyusza, tego przedziwnego filozofa biurokratyzmu. Hodować długie paznokcie, nosić odpowiednią swemu położeniu odzież, nic nie robić, na nic się nie narażać, czcić starszych i zwierzchność bez względu na ich wartość, żyć ze wszystkimi w zgodzie, grzecznie usuwać się z drogi złym, lecz silnym, bezczynnie współczuć nieszczęśliwym, a głównie... pilnie przestrzegać wszelkich obyczajów towarzyskich, prawideł, przesądów, uważając je za „mądrość wieków" -- stało się kanonem dobrze wychowanego jań-bania i każdego szanującego się Korejczyka.

— Mo-gu-ra-gil.. mo-gu-ra gil..—powtarza inteligentny Korejczyk, oznaczając tym wyrazem dążenie do *wewnętrznej* doskonałości oraz ćwiczenie się w *myśleniu oderwanem*.

Znaczy ono „żaba" i nie obowiązuje do zdradzania *na zewnątrz* cnót posiadanych. Przeciwnie obowiązuje do panowania nad swemi uczuciami, zarówno złemi, jak dobremi. Korejczyk z towarzystwa nie gniewa się, nie krzyczy, nie unosi, ale nie cieszy się też, nie dziwi niczemu i do niczego nie zapala... Łagodna wyrozumiałość z domieszką sceptycyzmu powinna zdobić jego rozumowania...

Na szczęście ta „żaba" umysłowa, pilnie szczepiona przez chińskich myślicieli na tutejszym gruncie w ciągu wielu stuleci, nie pożarła jeszcze całkiem duszy nieszczęśliwego ludu. Już w „Jö-czi-son-nam" z XV stulecia wspomniany jest zaszczytnie Köm-gun, który w czasie suszy, kiedy lud sprzedawał własne dzieci, aby zdobyć środki do życia, nie przyjął swej części zboża, nadesłanej mu przez rząd; ukradli ją wprawdzie urzędnicy i otruli go, aby ich nie wydał. Tam również w spisie znakomitych obywateli wymieniony jest Kim-hu-czik, z którego grobu wybiegł odgłos łkania i skłonił króla Silla do wprowadzenia reform, oraz Ccho-czi-uon, znakomity podróżnik i uczony, którego zawistni urzędnicy zmusili zostać pustelnikiem.

Od tej pory lista szlachetnych szermierzy znacznie wzrosła, gdyż żadne społeczeństwo nie może istnieć bez czynnego dobra i odruchów sprawiedliwości.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

[1]) Korean Repository. 1897 r. vol. IV, December.

[2]) Tamże, str. 111.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Bezstronność a społecznicy.

Pojęcie bezstronności jest pojęciem niezwykle szerokiem i elastycznem. W naszem życiu społecznem pełni ono często funkcyę pancerza, na którym żadne pociski nie pozostawiają śladu. Pancerz ten twardy jest, jak granit, a nieugięty, jak spiż. Ma moc i blask, który oślepia, nęci, pociąga. Być bezstronnym — to ideał szlachetny i wzniosły, a do takich ideałów zawsze należy dążyć. Jakież drogi prowadzą do świątyni bezstronności? Czy są takie drogi, a jeżeli są, gdzież odnaleźć je można? A przedewszystkiem, kto może zostać człowiekiem bezstronnym?

Najczęściej monopol na bezstronność przywłaszczają sobie ludzie, stojący po za istniejącymi obozami, a jak ognia wystrzegający się wszelkiej partyjności. W oczach tych ludzi każdy, kto należy do tej lub innej grupy, przedstawiającej wyraźnie sformułowane dążenia i cele, musi być stronnym. A „jesteś stronny" — to zarzut potężny, to zaatakowanie nieprzyjaciela na całej linii, to śmiertelny wystrzał, po którym należy się poddać. „Jesteś stronny" — to znaczy: należysz do tego lub innego obozu, horyzont twego myślenia jest zacieśniony, na wszystkie zjawiska życiowe patrzysz przez pryzmat interesów swej grupy, a więc nie możesz się zdobyć na sąd trzeźwy, niezabarwiony podmiotowem traktowaniem sprawy. „Jesteś stronny — to jednocześnie ostatni argument, po którym już nic niema do powiedzenia. Natomiast, gdy ktoś mówi: „jestem bezstronnym," to zwykle chce powiedzieć, że stoi po za obozami, a więc ogarnia szersze od ludzi partyjnych widnokręgi, gdyż niczem się nie krępuje i z niczem nie potrzebuje się liczyć, słowem, posiada wszystko, czego potrzeba, aby się zdobyć na ocenę sprawiedliwą, wolną od uprzedzeń człowieka partyjnego. Bezpartyjność — to wrota, prowadzące do świata, partyjność — to ciasnota, zasklepienie się w formułkach i schematach.

Na zarzuty takie nie można odpowiedzieć w dwu słowach.

Życie społeczne, przedstawiające dziś olbrzymią sieć najrozmaitszych splotów i powikłań, każdemu nasuwa przed oczy cały szereg zagadnień, każdego zmusza do zastanowienia się nad rozcięciem tysiąca węzłów, zagmatwanych przez długie wieki niedoli i obskurantyzmu. Obóz, który żyje i żyć pragnie nadal, musi na każde nastręczające się pytanie dać wyczerpującą odpowiedź i wobec każdego zjawiska zająć właściwie dla swych celów i zadań stanowisko. A należenie do obozu, obejmującego całokształt stosunków społecznych, do obozu z programem szerokim, popartym w praktyce całym łańcuchem czynów, nie może zaciemnić widnokręgu myślowego. Powiadam: nie może, bo dążeniem takiego obozu jest właśnie widnokrąg ten wszechstronnie oświetlać. Inna rzecz, jeżeli za przykład weźmiemy stronnictwo, które nie uwzględnia czynników, wytwarzających życie, które nie uznaje praw człowieka, lecz szerzy

nienawiść rasową, krzewi wybujały szowinizm na podatnym gruncie ciasnych umiłowań, walczy plotką, obłudą i fałszem. W takiem stronnictwie, jeżeli tylko należą do niego także żywioły szlachetne i samodzielne, z samej natury rzeczy zapanować musi gmatwanina pojęć i chaos, rozdźwięk pomiędzy pięknie brzmiącemi słowami a czynem przewrotnym i niesprawiedliwym.

Oczywiście partyjność nie chroni od zacietrzewienia i błędów, jak nie chroni od nich bezpartyjność, ale partyjność jest wyższą formą pracy społecznej, jest zrzeszeniem sił dla dopięcia określonych celów, a więc jest zrozumieniem, że każda walka ma daleko większe widoki powodzenia, jeżeli ujęta jest w karby. To fakt na który wszyscy zgodzić się muszą. A fakt ten tembardziej zasługuje dziś na podkreślenie, że w społeczeństwie naszem coraz więcej spotykamy jednostek, które usuwają się od wszelkiej pracy publicznej i społecznej, bo pracy tej nie mogą prowadzić na własną rękę, a wspólnie prowadzić jej nie chcą z obawy, że przylgnie do nich... partyjność. Ba, gorzej jeszcze! Każdy kto śledzi uważnie bieg naszego życia, spostrzedz musiał, że od pewnego czasu coraz częściej odzywają się głosy pogardy dla pracy społecznej. Pod adresem ludzi czynnu gorzkie i cierpkie padają słowa. Ci, co nie dotknęli się nigdy tej działalności rozprawiają o niej, i mają odwagę twierdzić, że praca ta pozbawiona jest pierwiastków piękna. A życie wokoło nich szumi, kłębi się i bryzga tysiącem rozpaczliwych tonów, pod cichą i gładką powierzchnią tego życia rozlega się płacz, dzieją się rzeczy wielkie i olbrzymie, rodzą się i pracują nieznani bohaterowie. Antispołecznik, tuląc się pod skrzydła estetyki, zasłania się indywidualnością i wali w ludzi czynu młotem, ukutym z etyki stosowanej. Czyż dążenie jednostki dlatego tylko, że jest jednocześnie dążeniem większej gromady, może kogokolwiek pozbawić indywidualności?.. Jednakże i ten zarzut spotyka często człowieka partyjnego, od ludzi stojących po za obozami. Dlaczego tacy ludzie istnieją? Odpowiedź bardzo prosta: dlatego, że bezpartyjność zapewnia zupełną swobodę działania bez żadnej za nie przed nikim odpowiedzialności.

Człowiek przekonań nie może innych ludzi uważać za stronnych dlatego tylko, że oni odmiennym kłaniają się bogom.

Bezstronność istnieje jako abstrakcya. W praktyce wszyscy jesteśmy stronni. Nie obawiajmy się jednak stronności, bo nie ma ona znaczenia decydującego. To znaczenie zawsze i wszędzie ma racya bez względu na to, do kogo należy i kto ją głosi.

T—wr.

„Proces bytomski w świetle prawdy."

Oto tytuł niemieckiej broszury, którą w tych dniach wydał ksiądz dr. Stephan, redaktor *Gazety Katolickiej*, organu duchowieństwa katolickiego na G. Śląsku.

Książka ta jest aktem zemsty rozwścieczonych centrowców na stronnictwo *Górnoślązaka*. By tę walkę zrozumieć, trzeba się cofnąć wstecz i przedstawić rozwój stosunków partyi centrum do ludu polskiego na G. Śląsku. Cicho i głucho było tu dawniej. Lud chodził do roboty, do kościoła, a do polityki się nie mieszał. Podczas pierwszych wyborów do parlamentu wybrano rządowców na posłów. Lecz już w walkach wyborczych z r. 1871 i 1874 centrum katolickie zdobyło prawie wszystkie mandaty poselskie z G. Śląska — zdobyło je w zaciętej walce z rządowcami i kapitalistami niekatolickimi. Zawrzała t. zw. „walka kulturalna," prowadzona przez Bismarcka w celu ograniczenia na rzecz państwa niektórych praw kościoła katolickiego. Pod naciskiem prześladowania partya centrum potężniała, łącząc pod hasłem: „istnienie Kościoła katolickiego jest zagrożone" wszystkie katolickie warstwy społeczne. Rząd prześladował księży, ksiądz polski stał się przeto w oczach religijnie usposobionego ludu męczennikiem „sprawy polsko-katolickiej." Dla naszych polityków sprawa ludu polskiego w Prusiech została od tego czasu „sprawą polsko-katolicką." Nawoływania księży: „Katolicy wszystkich stanów, wszystkich narodowości, łączcie się, interes Kościoła jest zagrożony!" — znalazły posłuch u ludu polskiego. Księża górnośląscy wiedzieli doskonale, że walki tej bez jego pomocy nie przeprowadzą. Zbliżyli się więc do warstw ludowych i, by Polaków jeszcze bardziej do siebie przywiązać, poczęli ujmować się niby o prawa narodowe ludu polskiego. Z chwilą ustania walki „kulturalnej" ze strony rządu, z każdym rokiem coraz wyraźniej się ujawniało, że centrum zmienia się w partyę rządową. Zmierzało ono teraz do innego celu: do zdobycia wpływu na rząd niemiecki, do współdziałania z nim. Za ustępstwa zażądano jednak od niego zapłaty. Centrum zapłaciło. Pozbyło się wszystkich starych obyczajów opozycyjnych i działało w stałem porozumieniu z rządem niemieckim. Głosowało za wydatkami na wojsko, na marynarkę, za wszystkiemi ważniejszemi ustawami, które rząd przedkładał. A w kraju centrowcy wciąż jeszcze głosili o „prześladowaniu Kościoła katolickiego" ze strony rządu niemieckiego, by utrzymać węzły, które łączyły pruskich hakatystów z Polakami, wyzyskującego magnata kopalnianego z wyzyskiwanym przez niego górnikiem, posiadacza ziemskiego z parobkiem i chłopem, fabrykanta z rzemieślnikiem. Centrum nie mogło też oczywiście stawiać rządowi opozycyi zasadniczej w sprawie tak ważnej, jak germanizacya. Antikulturalna polityka rządu odpowiada antikulturalnym instynktom klerykalnym; antikulturalna polityka germanizacyjna odpowiada też w zupełności interesom górnośląskiej magnateryi katolickiej, ułatwiając jej wyzysk setek tysięcy ludu polskiego. Zrozumiałem jest przeto, że klerykali niemieccy popierali agitacyę, skierowaną przeciwko narodowym prawom ludności polskiej. A jednak centrowcy głosowali przeciwko ustawie kolonizacyjnej, przeciwko korupcyjnym „dodatkom wschodnim" dla urzędników, przeciw gadzinowym „funduszom dyspozycyjnym" i często stawiali zarzuty polityce rządowej w sejmie i w parlamencie? Otóż, niewolno zapominać, że parlamentaryzm, stojący pod kontrolą opinii publicznej, obok opozycyi szczerej i energicznej stworzył sztuczną, obliczoną na pociągnięcie tłumów. Nie ulega wątpliwości, że polityka „społeczna" i polityka „polska" klerykałów niemieckich — to szczyt demagogii zręcznie i systematycznie uprawianej; że centrum — jako stronnictwo, decydujące w parlamencie niemieckim, mogło każdej chwili zmusić rząd pruski do zaprzestania polityki antipolskiej, *gdyby* rzeczywiście do tego dążyło! Dzieje rozwoju politycznego centrowców wśród ludności polskiej na G. Śląsku są najlepszym dowodem planów i dążeń tego stronnictwa. Ksiądz górnośląski, który dawniej podczas „kulturkampfu" stał za ludem polskim, przeciwko rządowi i znacznej części kapitału górnośląskiego, wstąpił obecnie w szeregi „ładu społecznego," idzie ręka w rękę z policyą, z kapitałem. Wyzyskiwaczom ludu pomaga do tego stopnia w niektórych wypadkach, że z krzyżem w ręku wzywa strajkujących górników do powrotu do pracy, ułatwia germanizacyę, działa na równi z przeciwnikami wszelkich dążeń ludowych. Ciekawe pod tym względem szczegóły opowiada nam w broszurce „Katolik a centrum śląskie" naczelny redaktor *Katolika*, p. Adam Napieralski, polityk, który przez lat 15 „pracował *dla* centrum" i dzisiaj jeszcze, pomimo smutnych doświadczeń, stara się o zawiązanie sojuszu z klerykałami niemieckimi. Zaznacza on zupełnie słusznie, że centrowcy, otrzymawszy mandaty poselskie od ludu polskiego na Śląsku, mieli i obowiązki względem tego ludu. I wykazuje, że nic a nic w tym kierunku nie zrobili.

Napieralski, zakładając klerykalne towarzystwo robotnicze „wzajemnej pomocy," zwrócił się listownie do 200 księży górnośląskich z prośbą o poparcie. Jedenastu tylko odpowiedziało, a 2 zaledwie przychylnie. Jeden z młodszych proboszczów górnośląskich wydał broszurkę, w której otwarcie poleca księżom germanizowanie dzieci polskich. Broszurki te rozpowszechniło towarzystwo H. K. T. Wszelkim planom zakładania towarzystw polskich na G. Śląsku centrowcy stawiali zawsze „trudności." „Zamiast pytania, co lud polski na to powie? czy będzie to z korzyścią dla jego sprawy? przywódcy (centrowców na G. Śląsku) zadawali sobie pytanie: co landrat, co kapitalista hakatystyczny (często patron kościelny) na to powiedzą?" Opisując szczegółowo intrygi centrowców przeciwko kandydatom polskim, nawet klerykalnym, p. Napieralski oświadcza ostatecznie, „że od takiego centrum lud polski nie ma się czego spodziewać."

Katolik, założony przez księży, stale z początku popierał centrum i pracował dla niego. Naraz przebrała się miarka. W roku 1897 i 1898 zaczął on protestować przeciw germanizacyi, uprawianej przez księży górnośląskich. Wówczas kler poczuł, że władza jego zagrożona. Pojawiła się słynna „Odezwa duchowieństwa do ludu górnośląskiego." podpisana w Bytomiu 26 lutego 1898 r. przez 262 księży, proboszczów, dziekanów, radców kościelnych itd. Czytamy w niej, że duchowieństwo nie myśli o germanizacyi ludu i... „że już od lat kilku *Katolik* usiłuje wywołać nieporozumienie między duchowieństwem a ludem na G. Śląsku... Choć lud górnośląski zawsze jeszcze jest poczciwym, do Kościoła i swojego duchowieństwa przywiązanym, to jednak przy ustawicznem szczuciu *Katolika* spotkać się już można po parafiach z dość sporą liczbą takich, którzy sprzeciwiają się swym kierownikom duchownym, a nawet odmawiają im wszelkiej oznaki czci i uszanowania. Tą drogą postępując, pomnaża *Katolik* zastępy demokracyi socyalnej, gdyż podkopując powagę duchowieństwa, podkopuje zarazem wszelką od Boga ustanowioną władzę kościelną i świecką...." Rozpoczęła się walka, która wkrótce ucichła. Podczas wyborów w r. 1898 *Katolik* popierał znowu kandydatury klerykalne, nie wyłączając znienawidzonego magnata Ballestrema. Znaczna część wyborców klerykalnych wskutek tego oddała kartki swe na demokratów społecznych, którzy uzyskali na Górnym Śląsku przeszło 25,000 głosów. Po wyborach nastąpiło jeszcze większe zbliżenie centrowców do rządu, a organ wrocławski księży górnośląskich pisał w r. 1901: „Rząd pruski ma bardzo nieszczęśliwą rękę do germanizacyi, bo używa do niej nauki religii w szkołach. Skutkiem tego, my katolicy-Niemcy musimy bronić Polaków. Gdyby rząd od tego odstąpił, my katolicy-Niemcy mielibyśmy wolną rękę, pomoglibyśmy rządowi w jego staraniach około wzmocnienia niemczyzny na Wschodzie." *Katolik* tym razem oskarżał księży-germanizatorów, ganił ich, a pomimo to, gdy się zbliżyły wybory do parlamentu niemieckiego, ogłosił w listopadzie 1901 r. odezwę, której najważniejsze zdanie brzmiało: „Z tego wszystkiego

wynika, że partyą, dla której posłów naszych podczas przyszłych wyborów obierać powinniśmy, może być tylko partya centrum.“ Centrum uspokoiło się. Księża-politycy przypuszczali, że wybory r. 1903 wielkich trudności nie przedstawią. Wiedzieli oni, że tysiące robotników pójdą znowu za demokracyą społeczną, wiedzieli, że tysiące zrozumiały, iż centrum jest agentem politycznym systemu germanizacyjnego złączonych wrogów ludu pod względem politycznym, społecznym i narodowym. Ale mogli jeszcze przypuszczać, że nadzwyczaj wpływowy *Katolik* potrafi te tysiące pozyskać znowu dla „sprawy polsko-katolickiej.“

Położenie zmieniło się jednak, gdy na początku roku 1902 począł wychodzić *Górnoślązak*, zyskując sobie coraz szersze wpływy. Pismo to skierowane przeciw centrum i *Katolikowi* z jednej strony a stojąc na gruncie klerykalno-katolickim z drugiej, mogło łatwo zdobyć poważną część tych, którzy znienawidzili partyę centrum, a do społecznej demokracyi ze względów klerykalnych przejść nie chcieli. Kierownicy *Górnoślązaka* zrozumieli, że największą dla nich trudnością będzie zwalczenie silnego jeszcze wpływu księży centrowców. *Górnoślązak* od pierwszej chwili uprawiał politykę nawskroś demagogiczną. Licząc się z faktem, że względy społeczne odgrywają najważniejszą rolę w decyzyach politycznych mas ludności górnośląskiej, wmawiał wyborcom, że Koło polskie jest stronnictwem postępowem pod względem społecznym, występując przeciw warstwom panującym: kapitałowi, rządowi, klerowi zdobył sobie sympatye „niezadowolonych“ powyżej określonego gatunku. A że te warstwy panujące, znienawidzone przez szerokie sfery ludowe, są jednocześnie czynnikami wynaradawiania Polaków, że germanizacya i hakatyzm przy układzie społecznym G. Śląska (niemiecki kapitał — polski proletaryat) występuje często, jako jeden z licznych objawów ucisku społecznego, więc *Górnoślązak* mógł z łatwością wysunąć na pierwszy plan obronę praw narodowych, pomimo że u tłumów, stojących za nim, względy narodowe pierwszej roli bynajmniej nie odgrywają. Agitacyę wyborczą oparto w znacznej części na żądaniach natury społecznej, których Koło nigdy nie stawiało.

Oczywiście, walka pisma, tak *klerykalnego*, jak *Górnoślązak* przeciw klerykałom nie może być przeprowadzoną logicznie, nie może wyrobić w swych czytelnikach stałego, zasadniczego zapatrywania, jakkolwiek była prowadzona zacięcie z jednej strony w gazetach i odezwach wyborczych, z drugiej przeważnie z ambony, za pomocą nadużyć kościelnych. słynnego listu pasterskiego wrocławskiego kardynała Koppa.

Na tym gruncie powstał znany proces bytomski. Redaktor *Górnoślązaka*, oskarżony o obrazę duchowieństwa górnośląskiego i kardynała Koppa wykazał na rozprawie sądowej za pomocą licznych świadków, ze księża centrowcy wygłaszali w kościele kazania polityczne, że księża występowali z ambony przeciw kandydatom i gazetom polskim, że odmawiali czytelnikom *Górnoślązaka* rozgrzeszenia, dopuszczali się gwałtów przeciw roznosicielom kartek wyborczych polskich, jednem słowem przeprowadzili wybory za pomocą systematycznego nadużywania wpływów i instytucyj kościelnych na korzyść partyi centrum. W chwili moralnej klęski klerykałów „posłuszny syn kościoła“ p. Korfanty pokazał swą lojalność, ułatwiając kardynałowi wyjście z położenia nadzwyczaj przykrego. Wystosował on do przedstawiciela urażoną prośbę o cofnięcie procesu, kardynał się zgodził i zawiadomił prokuratora sądowego o swej decyzyi dodając, że „silny ma prawo przebaczać“. Już podczas procesu urządzono śmieszną komedyę: redaktor *Górnoślązaka* wiedział doskonale że rozzuchwalił księży list pasterski Koppa, zachęcił ich do stanowczych wystąpień politycznych w kościele. A jednak *Górnoślązak* udawał, że księża sami ponosili odpowiedzialność za swe czyny, a kardynał Kopp niby o niczem nie wiedział, zaś po cofnięciu wniosków przedstawiono go nawet, jako „księcia pokoju.“

Tymczasem centrum myślało o zemście. Stracony na rzecz Korfantego mandat do parlamentu, trzy mandaty poselskie do sejmu, zagarnięte przez konserwatystów z powodu wstrzymania się części wyborców polskich od głosowania, utrata wpływu na sprawy górnośląskie zaniepokoiły mocno stronnictwo. Pod kierunkiem zręcznego polityka, redaktora *Gazety Katolickiej* ks. dr. Stephana kler górnośląski począł dowodzić, że nie myśli o germanizacyi. Z drugiej strony zabrano się do systematycznego zwalczania wpływów *Górnoślązaka*. I oto ukazała się broszura dr. Stephana, licząca 320 stronic, o której pomówimy w następnym artykule.

(D. n.).

J. K.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

I. Człek wesoły

W różnych językach ma różne imiona, w naszym nazywa się *człek*. A jak ten wyraz, tak on sam jest skróceniem *człowieka*. Skróceniem nieco odmiennem, gdyż wcale nie postradał swego środka, przeciwnie bardzo go rozepchał. Człek bowiem jest to istota, w której głowa straciła wierzch czaszki wraz z mózgiem, tworząc tylko ogromną, w wielkich szczękach rozwartą gębę z szerokim przełykiem. Gęba ta jest bezpośrednio osadzona na olbrzymim brzuchu, w który są wbite długie i tłuste nogi. Tak wygląda ideał a jego wcielenia mniej lub więcej uchylają się od pierwowzoru.

Człek, usiadłszy na kuli ziemskiej, jak na beczce, pije z niej słodkie odurzenie i od czasu do czasu przeraźliwie ziewa. Pomimo wszystkich uciech nudzi się, jak bęben, kiedy weń bić przestaną. Potrzebuje wrażeń, któreby w niego uderzały, a ma prawo ich żądać. Bo co to jest ludzkość? Jest to olbrzymia masa istot, rozpadająca się na kilka gromad, mianowicie: jedna składa się z takich, o których on nic nie wie i które są dla niego zupełnie obojętne; druga z takich, o których wie nieco i chciałby je wyzyskać; trzecia, o których wie dużo i które wyzyskuje niezmordowanie. Nie śmie tych wszystkich istot nazwać swoją czeladzią, ale uważałby to za zupełnie naturalne, gdyby mu służyły. Dobro społeczne — powiada morał — jest szeroką i głęboką rzeką, z której każdy może czerpać lub spławiać po niej swoje interesy. Człek śmieje się z tego i usiłuje krytym przekopem sprowadzić całą tę rzekę na koła swojego młyna. To jego prawo do korzyści. Ma zaś równe do uciechy. Trzeba tylko stanąć na jego stanowisku i spojrzeć z jego punktu widzenia, a wtedy zrozumiemy, dlaczego on woła do artystów: „Hej, wy błazny płaczące i śmiejące się, wy sztukmistrze, umiejący mnie wzruszać, rozczulać, zadziwiać, dajcie mi jakąś rozrywkę! Wiecie, że dobrze płacę!“ I oto pędzi tłum, ofiarujący mu swoje pomysły:

— „Gram Hamleta w ten sposób, że ducha jego ojca nie widać, a ja jego słowa mówię brzuchem.“

— Czy to robi silne wrażenie?

— O tak.

— Dobrze, wystąp.“

— „A ja śpiewam trzema głosami: basem, tenorem i sopranem. Mogę więc sama wykonywać tercety.“

— Czy to zabawne?

— Bardzo.

— Posłucham.“

— „Mam trzy oktawy z kotów, które miauczą Beethovena, Chopina, Mozarta z taką dokładnością, jak klawisze fortepianu.

— Można się przy tem uśmiać?

— Nadzwyczajnie.

— Pokaż.“

— „Jestem impresaryem znakomitego poety, który jeździ po świecie z odczytem o „natchnieniu i wytchnieniu.“

— Schowaj go sobie dla naiwnych.

— Człeku, on nietylko mówi, lecz także napełnia się tchem poetyckim i następnie go wydycha rymami.

— Ja tego nic nie rozumiem; ale czy w Europie lub Ameryce już go oglądano i wysoko płacono za bilety?

— Rozrywano je po cenach niebywałych.

— W takim razie pójdę zobaczyć przedmiot nadzwyczajnej ciekawości ludzkiej. To czasem bywa zajmujące. Ale pamiętajcie, dostarczyciele moich uciech, że ja byle czem się nie zadowolę i starych przysmaków odgrzewać sobie nie dam. Jeden z was chciał mi przedstawić świnię, umiejącą używać logarytmów. Pospolity głupiec! Ja widziałem świnie na najwyższych szczytach wiedzy, sztuki i znaczenia, taką więc, która posiada gimnazyalne wykształcenie, zadziwić mnie nie można. Pokażcie mi świnię, która przekopała tunel podmorski między Anglią a Francyą — taką obejrzę. Ale nie zwyczajną matematyczkę, chociażby nawet z rachunkiem różniczkowym. Tylko nadzwyczajność! Następnie żądam, ażeby ona była przyprawiona filozofią, która zresztą może nie mieć żadnego sensu. Bo zważcie... Jeśli się przypatruję nawet takiej świni, która przekopała tunel podmorski, to muszę być zabezpieczony od własnego przekonania i cudzego zarzutu, że jestem ordynarnym gapiem i sprawiam sobie przyjemność pastucha lub rzeźnika. Ja powinienem wierzyć a przynajmniej słyszeć wokoło siebie zapewnienie, że spełniam wielki akt kultury, którego przyczyna leżała już w prawach wszechświata przed powstaniem ziemi. Może sobie filozof dowodzić, że świnia jest symbolem praidei oleju krzemiennego, gdyż z wyjątkiem szczeciny, kopyt i zębów cała jest jadalna; może gadać wszystko, czego ani ja nie pojmę, ani on, ani nikt; mnie wszystko jedno, aby tylko jego mowa miała brzmienie filozoficzne. Bo — powtarzam — chcę moją uciechę spożywać tak, jak gdyby to była uczta bogów, w kieliszkach perlił się nektar, a na półmiskach leżały pieczone idee Platońskie. Przecież gdy jem obiad, a na nim kotlety wieprzowe, muzyka przygrywa mi „Proroka“ i „Fausta.“

— Rozumiemy cię doskonale, ale powiedz człeku czcigodny, czy nie zająłby cię taniec młodej kobiety w lekkiej, przezroczystej, z boku rozciętej sukni, pod którą jest tylko... natura?

— Jak to, publicznie?

— Tak.

— Czy mnie, poważnemu myślicielowi i obywatelowi, wypada?

— Cały świat cywilizowany już ją widział i oklaskał!

— To mnie nietylko tłomaczy, ale i zaciekawia. Sprowadźcie ją.

— Zresztą bądź spokojny, człeku. Ta filozofia, o którą ci tak chodzi, jako o przyprawę uciechy, będzie dorobiona do wy-

stępów tancerki. Posłuchaj próbki: „Na estradzie leży zielony kobierzec, a na ścianie tylko niebieska kulisa. Czy to nie zielona łąka i modre niebo Hellady? Wyszła, jak gdyby oderwana od orszaku nimf i zaczęła w przecudnych zgięciach i ruchach wyrażać boskie pasaże i akordy tej muzyki, której głębia sięga aż do pierwszych dni stworzenia chaosu. Bosa, obnażona, z rozciętej tuniki ukazuje nogi brzydkie — prawda! Ale właśnie w tej brzydocie spoczywa szereg wspaniałych symbolów (stopa, kostka, kolano itp.), błyszczące głoski niewypowiedzianego dotąd słowa, tęcza nowej sztuki. Czy zauważyliście zapięcie sukni pod szyją przy rozcięciu jej wzdłuż nogi? Dlaczego? Hej, nie spieszmy się tak z odpowiedzią na to pytanie, jak z zapałkami do zapalania znajomemu papierosa. Trzeba wleźć w lufę armaty pioruna, być z niej wystrzelonym w przestrzeń, lecieć, huczeć, trzaskać i w potrzebie druzgotać. Wtedy dopiero pojmie się należycie... Co się pojmie? A.. tak... Wyższą sztukę... wielką sztukę! Polega ona na tem.. Na czem ona polega? No, to się potem dorobi. Cóż, człeku, dobra filozofia?

— Nie znam historyi, ale zdaje mi się, że nigdy jeszcze wąż literacki nie okręcał się około cieńszych tyczek. Jak wy umiecie wszystkiego dowieść, a zwłaszcza ze wszystkiego wydobyć głos trąby sądu ostatecznego. Na liściu usiadła biedronka. Zdawałoby się, że to wypadek bardzo prosty. Tymczasem przychodzi filozofujący esteta i jak zacznie prawić o przedbytach, pozatrwaniach, dnach bezdennych, wichrach zlodowaciałych, lodach kipiących, a nadewszystko o nowej, wielkiej sztuce, tak nie wiesz, czy to tylko biedronka siedzi na liściu, czy może księżyc spuścił łeb, nastawił rogi i pędzi do Marsa, ażeby go uderzyć i od ziemi odegnać.

— Tak, człeku, masz słuszność, my umiemy nawet przyczepić nową erę do bosej stopy Izadory Duncan i przekonać cię, że gdyby ona włożyła trzewiki i nogawiczki, nie byłoby nowej ery.

— Podobacie mi się ogromnie, urwisy.

— Skoro już wpadliśmy w zwierzenia, to wyznamy ci szczerze, że nasze długie łoki, grabarskie krawaty i tajemnicze poezye są obliczone na twój zachwyt. Człowiek ukształcony ze swoją miareczką, ważkami, szkiełkami, probierczykiem nie da sobie wmówić, że pierwiastek kwadratowy z 4 jest zielony, a z 16 — czerwony; ale ty, kochany człeku, nie odważysz się zaprzeczyć. I pomimo że my gardzimy twoim gatunkiem, właściwie jesteś głównym naszym wielbicielem. My ci imponujemy, jak imponowali filistrom bajroniści w szerokich płaszczach i bandyckich kapeluszach, stojący na przymorskich skałach; my ci sprawiamy urozmaicenie w jednostajności życia, my ci przerywamy nudę.

— Prawda, moje chłopaczki, nie przeczę. Oszczędziliście mi trochę ziewania. Starajcie się o to dalej... ja dobrze zapłacę. Cokolwiek, aby nowe, niezwykłe! Może być nawet koncert prezydenta Wenezueli na cięciwie łuku Tella. A gdyby odkryto biegun północny, naturalnie pojadę do niego saniami zaprzężonemi w 20 białych niedźwiedzi.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Dzieje wielkiej gospodarki rolnej W ANGLII.

(Dokończenie).

W tak trudnych warunkach, chłop-właściciel sprzedawał swą ziemię i, mając kapitał obrotowy w ręku, starał się o większą dzierżawę, zaś drobny dzierżawca, który rat na czas nie uiścił, tracił zupełnie grunt pod nogami. Kto mógł, starał się dwie, trzy dzierżawy skupić w swem ręku, a wielcy właściciele ziemscy, którym ten rozwój zapewniał pewne uproszczenie stosunków gospodarczych, popierali go chętnie. Renta gruntowa wzrastała szybko przy wysokich cenach zboża; chłop, któremu ziema dawała mały dochód, łatwo ulegał pokusie pozbycia się jej za dobrą zapłatę, dookoła zaś zapanował szał zbijania gruntów w wielkie gospodarstwa, które opłacać mogły o wiele wyższą dzierżawę, niźli parę małych. Zasobni właściciele parli przytem do parcelacyi pastwisk gminnych, stanowiących najważniejszą podporę gospodarczą chłopa a, zatrzymując lwią część ich dla siebie, z łatwością wykupywali resztę. Odarty z ziemi chłop, stawał się najmitą na swym własnym niegdyś gruncie, szedł do miasta lub też, jeśli za ojcowiznę, której się wyrzec musiał, otrzymał znaczniejszą gotówkę, brał dzierżawę. *Brak możności, rozszerzenia produkcyi zboża, produkowania wśród równie korzystnych technicznie i ekonomicznie warunków jak te, którymi wielkie przedsiebiorstwa rozporządzają, zrujnował gospodarkę chłopską, która się szybko do zmienionych warunków rynkowych przystosować nie mogła i przeinaczył formy pracowni rolnych.*

Szybki wzrost wielkich gospodarstw przerażać teraz zaczął nawet ich najgorętszych dotychczas zwolenników. Znaczna podaż sił roboczych, która obniżała cenę pracy na wsi i w mieście, drożyzna najważniejszych środków żywnościowych, wślad za nią idące skargi, wszystkie te objawy, które równocześnie w oczy poczęły się rzucać, zdawały się badaczom powierzchownym tkwić przyczynowo w raptownym rozkwicie wielkich przedsiebiorstw rolnych. Politycy społeczni różnych odcieni poczęli głosić konieczność powstrzymania, bodaj z pomocą opiekuńczą rządu tego procesu uzdrowienia życia społecznego i gospodarczego silnem poparciem gospodarki „o trzech akrach i jednej krowie,“ której zanik zdawał się wstrząsać podwalinami dobrobytu narodowego. W r. 1861 ministeryum rolnictwa wyznaczyło premie za znalezienie najdogodniejszego sposobu „rozsiania drobnej własności po całem królestwie.“ Ale wobec wysokich cen ziemi pomoc rządu w kupnie okazała się za słabą, a ilość właścicieli, którzy ze względu na ogólnie uznaną potrzebę woleli dobra swoje rozdrobić, niż w całości wydzierżawić — bardzo nieznaczną.

Nastanie pokoju (rok 1815) nie położyło tamy rozwojowi wielkich gospodarstw; był to już fakt, którego nieodwołalność została zrozumianą i uznaną. Nie próbowano z nią walczyć więcej. Inne sprawy zaprzątały umysły w kraju, który tymczasem stał się wybitnie przemysłowym, a kwestya rolna, tylko jako kwestya ceł agrarnych pozostała na widowni.

Na razie nie czuć było żadnych istotnych zmian w kierunku popytu. Z runięciem potęgi Napoleona rynki lądowe otwarły się wprawdzie znowu przed wyrobami przemysłu angielskiego, ale wyczerpana długoletnimi wojnami ludność nie miała za co kupować. I szybko przytem myśleć poczęto o tem, aby po odparciu „najścia wojsk francuskich“ odeprzeć murem celnym najazd wyrobów angielskich. W Anglii zaś zaprowadzenie wysokich ceł zbożowych w r. 1815 w sztuczny sposób podtrzymywało wysokie ceny zboża. Stan, który przez długie lata był wynikiem nieurodzajów, wojny i zemsty mocarza lądowego, dzięki przemożnym wpływom wielkich właścicieli ziemskich, zaciężył jak przekleństwo nad Anglią i w latach pokoju. Utrudniony dowóz czynił z każdego nieurodzaju klęskę dla ludności a błogosławieństwo dla wielkich przedsiebiorstw rolnych, wytwarzających przeważnie pszenicę w dalszym ciągu. Siła kupcza płacy robotniczej stała się tak małą, że brakło nadal dostatecznej liczby odbiorców na mięso, jarzyny i nabiał, słowem produkta, na których niegdyś opierały się drobne gospodarstwa. Istnienie ceł zbożowych stanowiło przytem ciągłą pokusę do powiększania objętości gospodarstw, bo choć urodzaj, ceny tak obniżał, że dzierżawcy konieczność opłacania wysokiej renty musieli odczuwać, jako ruinę, ciągle przecież utrzymywała się nadzieja znacznych zysków, jak tylko plon nie dopisze. Między rokiem 1815 a 1846 wielka gospodarka rolna zwycięża na całej linii, a chociaż prócz realnych warunków zwycięztwa, leżących w utrudnionym dowozie, w grę wchodziło i wiele imaginacyjnych, jak np. ten, że uda się spekulacyą utrzymać cenę zboża na wysokim poziomie, który w dobrych latach zawodził, *jakość* produkcyi rolnej a z nią forma gospodarstw pozostała taką, jaką była przed nastaniem pokoju. Te nawet gospodarstwa chłopskie, które płynąc przeciw prądowi w poprzedniej epoce, zaciągnięciem pożyczek byt swój przedłużyły, teraz znalazły swój kres ostateczny, bo nadzieja szybkiej zmiany ogólnych stosunków rynkowych okazała się mylną.

Zniesienie ceł zbożowych (1846) nie zaznaczyło się odrazu silniejszą różnicą w położeniu. Wolny handel otworzył bez żadnych zastrzeżeń granice Anglii dla zboża obcokrajowego, i ludność angielska opłacała teraz chleb swój według cen, panujących na rynku światowym, nie zaś przykrojonych do potrzeb pewnej grupy kapitalistów. Ale ponieważ w pierwszych 30 latach cena na rynku świata opadała nieznacznie tylko, przeto wolny handel zapewniał Anglii na razie tylko tę korzyść, że mimo szybkiego wzrostu ludności ceny żywności utrzymywały się na poziomie nieco niższym, niż dawniej. Uprawa zboża opłacała się jeszcze ciągle — choć właściciele ziemi nie mogli nakładać nowych characzów na ludność, a ile zaś konkurencya za granicą dawała się odczuć, starano się jej sprostać udoskonaleniami technicznymi, przejściem od trójpolówki do płodozmianu, który ogólnie wprowadzonym został i częściowym powrotem do hodowli bydła.

Dopiero w latach 70 nastąpił zwrot stanowczy. Postęp i rozwój środków komunikacyjnych, zajęcie pod uprawę nowych, dziewiczych gruntów Ameryki o nieprzebranej rozległości i płodności, pociągnęły za sobą znaczną zniżkę cen zboża na rynku wszechświatowym. *Zmieniły się warunki zbytu produktów rolnych.* Ludność angielska mogła teraz nabywać najważniejsze środki żywności, dowożone z zagranicy, po cenach coraz to niższych. Tam, gdzie brak warunków naturalnych nie pozwalał na zyskowną uprawę zboza tak tanio, jak dowożone, kapitał wycofywał się, szukając innych źródeł dochodu. Uprawa zboża poczęła zanikać. Ale równocześnie z pogorszeniem się warunków zbytu na zboże, podniosło się zapotrzebowanie na wszystkie wytwory gospodarki wiejskiej. Im mniej

ogół ludności wydawał na chleb i mąkę, tem więcej zużywał mięsa owoców i nabiału, szczególnie dlatego, że rozwój organizacyj robotniczych i korzystne warunki, wśród których pracował przemysł angielski, objawiły się wysoką wartością siły roboczej przy nizkiej cenie środków żywności. Zapotrzebowanie na owe produkta, które w okresie wysokich cen zbożowych dla pracującego ogółu były niedostępne, wzrosło niesłychanie. *Równocześnie zmienił się rodzaj wytwórczości wiejskiej.* Intensywny chów bydła, gospodarka mleczna, ogrodnictwo i sadownictwo, chów drobiu poczęły wypierać nieopłacającą się już uprawę roli. A równocześnie z tą zmianą warunków zbytu i wytwarzania nastąpiła pierwsza od lat stu *wyraźna zmiana w formach gospodarki wiejskiej.* W miarę jak uprawa zboża opłacać się poczęła tylko na najlepszym gruncie, ilość wielkich gospodarstw poczęła się zmniejszać. Wyjątkowo zatrzymano ją jeszcze dla hodowli owiec, ale były to już wyjątki. Wytwórczość, która zajęła miejsce uprawy zboża, nadawała się w przeważnej części, do drobnej gospodarki. Najważniejszą rolę odgrywała w niej znowu pieczołowitość dbałego o swe dobro właściciela-robotnika, otaczającego każdą cząstkę swojej chudoby starannie indywidualizującą opieką.

I tak wraz z upadającymi cenami zboża podniosło się znowu znaczenie drobnej gospodarki w Anglii, z cieniów wydostała się ku światłu i zwraca na siebie oczy teoretyków i praktyków. Właściciele ziemscy po stuletniej przerwie zaczynają znowu dobra swe dzielić między rzeszę drobnych dzierżawców, a państwo podejmuje zarzucone już starania położenia tamy ciągłemu wyludnianiu się wsi przez tworzenie gospodarstw chłopskich. Wysoka cena ziemi utrudnia wprawdzie powstanie licznych, drobnych *posiadłości*, bo i w Anglii, jak na całym prawie kontynencie europejskim w cenie ziemi opłaca się nietylko skapitalizowany dochód, ale nadzieje niezależności ekonomicznej, stanowisko społeczne itd., ale pomimo to *drobna gospodarka*, jako praca na cudzym gruncie, robi stanowcze postępy.

Badanie stosunków, panujących na rynkach zbytu, wykazało, że one to właśnie określają, *co* gospodarka wiejska ma wytwarzać, a wobec tego *jak* ma wytwarzać. Podczas gdy w przemyśle wielka pracownia odnosi zwycięztwo nad małą, dostarczając tych samych wyrobów taniej i szybciej, na wsi każdej prawie wielkości gospodarstwa odpowiada większa popłatność innej gałęzi wytwórczości. *Rodzaj zapotrzebowania* rozstrzyga zatem o wyniku współzawodnictwa między różnemi formami gospodarki wiejskiej. Zrzeszenia zapewniają wprawdzie małym gospodarstwom wiele handlowo kupieckich korzyści, ale zrównanie warunków techniczno-produkcyjnych w uprawie zboża mogłoby tylko dokonać przy zupełnem zlaniu się gruntów należących do różnych gospodarstw, w jedną całość, w wielkie przedsiębiorstwo, obciążone zresztą koniecznością utrzymywania zbyt znacznej ilości budynków i zabudowań gospodarczych.

Stopień rozwoju przemysłowego, istnienie wielkich miast, wysokość płacy robotniczej, są bezwątpienia czynnikami, kształtującymi zapotrzebowanie środków żywności, wpływającymi pośrednio na losy gospodarki wiejskiej. Ale czynnikiem, górującym obecnie swym bezpośrednim wpływem ponad wszystkimi innymi, jest polityka celna danego kraju. Odcięcie dowozu z zagranicy podtrzymuje najmniej nawet z punktu widzenia społecznego racyonalną gospodarkę zapewnieniem wysokich cen i niszczy w samym zarodku naturalne pobudki przejścia do innych rodzajów i form produkcyi. W szukaniu odpowiedzi na pytanie o przyszłość t. zw. kwestyi rolnej już teraz musi być drogowskazem nie wyższość absolutna pewnej kategoryi gospodarstw, nawet nie względna ich sprawność w pewnych dziedzinach wytwarzania, ale stosunki polityczne w oświetleniu zebranych przez Levy'ego faktów. Ostateczna walka między wielkiem a małem gospodarstwem rozgrywa się — w parlamentach.

Jakie są jej widoki? — By na to odpowiedzieć, trzebaby zbadać warunki gospodarcze i polityczne każdego państwa z osobna. Owo czysto teoretyczne stawianie kwestyi, popierane przykładami czerpanymi zupełnie dowolnie z krajów o rozmaitym klimacie, różnej przeszłości historycznej (która w układzie stosunków własnościowych poważną bardzo odgrywa rolę), o różnym układzie stronnictw politycznych, niczego zgoła nie dowodzi. Wszak rozwój wielkiej gospodarki rolnej w Ameryce np. może stać się równie dobrze przyczyną utrzymania się u nas właśnie małych gospodarstw, jak ochronienie agraryusza cłami, które zabezpieczają wielką własność i wielką gospodarkę. A jesteśmy właśnie w tej fazie. Nawet tak demokratyczna i przemysłowa Szwajcarya uchwaliła cła ochronne na niektóre środki spożywcze i Anglia, jedyna jeszcze twierdza wolnego handlu w Europie, waha się i zastanawia, czy nie zejść z obranej przed pół wiekiem drogi. Nadałoby to i tutaj „kwestyi rolnej“ wygląd nowy — nowe ostrzeżenie dla teoretyków, by ujęli na razie badania w granice ciasne — ale za to pewne.

Helena Gumplowicz.

LITERATURA I SZTUKA.

Leonidas Andrejew.

Gdy „Opowiadania“ wstępnym bojem zdobywały sobie czytający świat rosyjski, nie było dla nikogo tajemnicą, że młody autor należy do sekty „Gorkijowców.“ Dowcip brukowy ochrzcił wnet i jego, jak Bunina Jeleszowa, mianem Włóczęgi „Podmaksymka,“ a ci, co książki nie zdążyli przeczytać, spodziewali się poznać nowego, utalentowanego piewcę „bosiaczestwa,“ który przez usta swych nazbyt wymownych *konowałów* i *byłych ludzi* pocznie apostołować za przewodem Gorkija beztroskliwe, o szerokim rytmie życie wolnych włóczęgów, „których snu strzegą gwiazdy i którzy tyle wiedzą i widzą.“ I... omylono się.

Świat, zobrazowany przez Andrejewa, roił się od ludzi, były wśród nich charaktery silne, niekiedy potężne, wyrastające na symbol niezłomnej woli (Mikołaj z „Mglistej dali“), ale nie było filozofów „bosych.“ Najwięcej w tych krótkich opowiadaniach spotykamy ludzi zwykłych, o jakich się ocieramy codziennie. Student Siergiej Piotrowicz, „którego myśli tak są podobne do tysiąca innych myśli na ziemi, jak twarz jego do tysiąca innych twarzy“; dwaj towarzysze w sali szpitalnej: ojciec dyakon, na kilka dni przed śmiercią układający dalekie wycieczki „do Trojcy — i do łaźni,“ i ponury, nienawidzący świata, kupiec Koszewierow („Żyli, byli“), jakaś młoda para, oddająca się na spacerze za miastem poważnej rozmowie o „wyższych przedmiotach“ („Otchłań“) — tacy to pierwsi bohaterowie Andrejewa. A jednak niema tu „galeryi typów,“ niema chwytania życia na gorącym uczynku i utrwalania go w całej jego powszedniości beznadziejnej, niema „czechowszczyzny.“ W każdym z tych bohaterów potrafił Andrejew wzmocnić i wyprężyć jakąś strunę, która wydawała jeden ton główny, zasadniczy.

Jego Siergiej Piotrowicz, to człowiek, dla którego zamknięte jest wszystko, co czyni życie szczęśliwem lub gorzkiem, ale głębokiem, ludzkiem. Nie istniały dlań religia i moralność, nauka i sztuka. Nie był dość śmiały, by nie wierzyć w Boga, ani dość silny; nie miał zmysłu moralnego, nie doznawał związanych z nim wzruszeń. Nie kochał ludzi — i nie mógł doświadczać tego szczęścia, któremu równego nie stworzyła dotąd ziemia, a które daje praca dla ludzi i umieranie dla nich. Nie mógł też ich nienawidzieć i nie było mu sądzone doznać pałącej rozkoszy walki z równymi sobie, ani demonicznej radości ze zwycięztwa nad tem, co świat cały czci jako świętość.“ Był to człowiek niezdolny do żadnego czynu, dobrego czy złego. „Na ulicy spotykał ludzi, którzy się spuścili aż na samo dno ludzkiego morza — i mówił: „a jabym nie mógł.“ Niekiedy zdarzało mu się czytać o takich, którzy szli na śmierć w imię idei i myślał: „a jabym nie mógł.“ I zazdrościł wszystkim i grzesznym i sprawiedliwym. Do takiej, stoczonej przez życie i na proch startej duszy, zbliża się Andrejew nie z miłością lub nienawiścią, lecz aby wykonać na niej próbę doświadczenia. Siergiejewowi Piotrowiczowi każe poznać Nietzschego, zaszczepia mu truciznę zawartą w słowach: „Jeżeli nie udało ci się życie, jeżeli czerw jadowity toczy twe serce, wiedz, że powiedzie ci się śmierć.“ I aż do tej śmierci towarzyszy mu przez wszystkie stacye jego męki.

Siergiej Piotrowicz czyta „Zarathustrę“ i zdaje mu się, „że wśród nocy jego życia wzeszło słońce. Wydało mu się ono nowem, jak znajoma twarz, oświetlona łuną pożaru.“ Przy świetle tej łuny poczyna się sobie przyglądać baczniej. Widzi, że życie przeznaczyło mu najbezbarwniejszą rolę. Może być tylko pożyteczny dla rynku, ponieważ jeść musi i okrywać ziębnące ciało, dla statystów, którzy na podstawie danych, dostarczanych przez setki i tysiące takich, jak on, Siergiejów Piotrowiczów, układają swoje wykazy dla poetów, którzy go będą opisywali, i dla czytelników, którzy wzruszając się tymi opisami, kształcić będą na nim swe uczucia etyczne. Po długim szeregu takich odkryć Siergiej Piotrowicz „łamie swą żelazną klatkę,“ truje się i „nędzny, tępy, nieszczęśliwy wznosi się ponad geniusze i króle, bo w nim zwycięża to, co jest najszczytniejsze na ziemi — wolne, śmiałe i nieśmiertelne ja.“ Czytając ten patetyczny nieco hymn na cześć śmierci, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że „Opowieść“ jest jeno ilustracyą nakazu, wyszarpniętego z nietzscheańskiego kodeksu, apoteozą śmierci. Takie rozwiązanie zagadki, nasuwa się u Andrejewa ustawicznie i jest zawsze pozorem łudzącym. Nie w pytaniu, czy przez swe samobójstwo zdobył się Siergiej Piotrowicz na czyn wielki, leży środek ciężkości opowiadania. Andrejewa pociągnął dramat w jego życiu wewnętrznem, krwawa praca jego umysłu, jego zmaganie się z własną niemocą. Tu, jak prawie wszędzie, chodziło mu o przedstawienie duszy ludzkiej.

Że lubowanie się w takiej analizie ciekawych, wyjątkowych stanów psychicznych, odziedziczone może po Dostojewskim, jest właściwością stałą w organizacyi twórczej Andrejewa, świadczy najlepiej opowiadanie „W mglistą dal,“ osnute na tle kwestyi „ojców i dzieci“, którą znów fala powrotna wyrzuciła na brzeg. Gorkij poświęcił temu zagadnieniu swych „Mieszczan“ o głębokim podkładzie społecznym, Najdienow ponurą, jaskrawą sztukę „Dzieci Waniuszyna,“ która jest niby aktem oskarżenia panującego dziś sposobu wychowania, Andrejew przedstawia ją w

inej postaci. Jego Mikołaj Borsukow, syn bogatego fabrykanta, powraca po wielu latach do domu, aby znowu wkrótce pójść w świat — „życia waszego nie rozumiem i nienawidzę“ — powiada ojcu. To i wszystko. Andrejew nie zapoznaje nas bliżej ani ze „starymi,“ ani z „młodymi — jego Mikołaj pozostaje do końca postacią mglistą, niewyraźną. Zaciekawia go inne zjawisko. „Od miesiąca mieszkał w domu — mówi o Mikołaju — i od miesiąca panował ten lęk i niepokój. Wszyscy starali się postępować jak zwykle, i nie widzieli, że z oczu ich przeziera trwoga. Zdawało się że lodowata fala przepłynęła nad domem.“ Zobrazowanie tego lęku, jakie budzi Mikołaj, stanowi istotną treść nowelki. Niezwykły stan naprężenia psychicznego, jaki wywołuje wśród najbliższych Mikołaj, kochany brat i syn, złączony węzłami krwi, a przecie obcy, tak straszliwie obcy, że nie ma ani jednej myśli wspólnej z nimi, tajemniczy i nieprzenikniony — to tylko widzi Andrejew.

W „Myśli“ robi doświadczenie nad duszą doktora Kierżencewa. Kierżencew jest z rodu tych „wszystko niszczających“ władców, o jakich marzył Siergiej Piotrowicz. Jest olbrzymem woli. Jako student ukradł sporą sumę, choć mu, człowiekowi zamożnemu, była niepotrzebna, po to jedynie, żeby spełnić, co było „najniemożliwsze.“ Myśl swoją tak zahartował, że stała się w jego rękach „narzędziem strasznem, posłusznem.“ Spotyka on na drodze swego życia kobietę — wyznaje jej swą miłość i zostaje wyśmiany. „Przypomnijcie jej — powiada po dokonanej zbrodni — dnia 5 sierpnia śmiała się.“ Kochała innego, przyjaciela Kierżencewa, duchem od niego ubożeszego. „To nieprawda — mówi Kierzencew — że ten człowiek ma talent; znam, czytałem wszystkie jego dzieła.“ — Jest świadkiem jego szczęścia i budzi się w nim... „Zazdrość? — nie, to nie było zazdrością“ — powiada Andrejew przez usta swego bohatera. Kierżencew postanowił zabić przyjaciela, tak żeby wiedziała o tem ona, ale nikt więcej. Będzie udawał obłąkanego. Na usługi swe ma niepospolitą wiedzę i wolę. Z energią uczy się swej roli.

Z niesłychanem wyrafinowaniem układa cały szereg czynów, które wśród jego otoczenia mają wzbudzić podejrzenie, co do jego stanu psychicznego. Gdy dopiął celu i po spełnionem przestępstwie zostaje oddany pod obserwacyę lekarską — nagle w nim samym budzą się wątpliwości. „Ja-łem — powiada — przykładać miarkę szaleństwa do wszystkich moich czynów“ — gdzie znaleźć sprawdzian, że nie był naprawdę obłąkany. I tu rozpoczyna się rola Andrejewa. Jak Siergieja Piotrowicza aforyzmem nietzscheańskim, zaraża teraz Kierżencewa tą rozpaczną wątpliwością. „Panowie eksperci — woła on, gdy storturowany ustawicznem zmaganiem się z samym sobą, spowiada się ze wszystkich czynów — dajcie mi pewność!“ I wie, mówiąc to, że jej nie otrzyma. „Bo wszędzie pójdzie za nim jego myśl“ — i dostarczy tyluż dowodów za, co i przeciw. Dla innych, przeciętnych ludzi rozwiązałaby zagadnienie powaga autorytetu, lub zdanie ogółu — dla niego taki sprawdzian nie istnieje, i pytanie pozostaje nierozstrzygniętem. Próbowała za Kierżencewa odpowiedzieć na nie krytyka rosyjska. Zdolny krytyk, p. Łunaczarskij, zszeregowawszy odpowiednio fakty (co mu zresztą ułatwił sam dr. Kierżencew) dochodzi do wniosku, że bohater „Myśli“ jest obłąkany — i chwali autora za nową, udatną psychologię waryata. Może nim jest Kierżencew, ale z pewnością nie dla Andrejewa. Dla niego jest on tylko człowiekiem, który przeżywa wielką tragedyę myśli, jak bohater ostatniej jego powieści („Życie Bazylego Fiwejskiego“) przeżywa tragedyę wiary. I to właśnie jest bardzo charakterystyczne dla ostatniego okresu twórczości Andrejewa. Owe jedyne, zasadnicze tony poczynają brzmieć w jego bohaterach wyraźniej, obserwacye autora pogłębiają się i ogniskują. Jego powieści stają się, jakby rozdziałami jednego wielkiego dzieła, odtwarzającego życie wewnętrzne w jego najsilniejszych, najpotężniejszych przejawach. Z tego tylko punktu widzenia można zrozumieć jego ostatni, pozorny zwrot ku mistycyzmowi w „Życiu o. Bazylego“ — nowej księdze Hioba, jak ją nazywa p. Rożanow, przysięgły mistyk literatury rosyjskiej. I zaprawdę Hiobowe gromy uderzają w pierś ojca Bazylego. Syn pierworodny topi się w rzece, żona ze zmartwienia poczyna pić „zapojem“, rodzi mu się drugi syn potwór-idyota, w córce Naści żyje jakiś demon zbrodniczy. — Nie kochasz mnie? — pytają o. Bazyli. — Nie, ja nikogo nie kocham — odpowiada Naścią. Zaiste, trzeba mieć Andrejowską potęgę słowa, by módz porwać się na taki temat i utrzymać w napięciu uwagę czytelnika w tej ciągłej atmosferze grozy, którą przesycone jest opowiadanie. Ojciec Bazyli po każdym ciosie losu powtarza swoje niezłomne „Wierzę!“ Jak biblijny Hiob ma i on chwile strasznego wątpienia. W dzień wielkiego postu spowiada się przed nim chłop Mosiagin. Mosiagin odkaszlnął, nadał twarzy wyraz urzędowy i, pochyliwszy ku księdzu głowę, jął mówić głośnym szeptem. W miarę, jak mówił, coraz niedostępniejszą i surowszą stawała się twarz duchownego, jakby kamieniejąc pod gradem boleśnie rażących słów chłopa. Oddychał on głęboko i często — jak gdyby dusił się tem czemś bezsensowem, tępem i dzikiem, co zwało się życiem Siemiona Mosiagina — jak gdyby wkoło niego owijały się czarne obręcze żmij. Zdawało się, że niezłomne prawo przyczynowości utraciło władzę nad tem życiem prostem i fantastycznem, tak nieoczekiwanie, tak błazeńsko głupio zsiepiał się w niem mały grzech z wielkiem cierpieniem, mocna, żywiołowa wola takiejże żywiołowej potężnej twórczości z potworną wegetacyą kędyś, na granicy między życiem a śmiercią — w rozpacznych wysiłkach, by coś zbudować, coś stworzyć — padał na ziemię i w proch rozsypywało się wszystko, waliło się, odpowiadając mu dziką drwiną i naigrawaniem. I w takich chwilach, gdy patrzy w to beznadziejne, bezmyślne życie wkoło siebie, wątpi Hiob nowoczesny. „I tak pozostanie? — pyta, a słowa jego dźwięczą, jak grudy ziemi, uderzające w trumnę“.

„Życie o. Bazylego“ nie jest rzeczą najlepszą w dotychczasowym dorobku Andrejewa, lecz godną uwagi, gdyż tu w całej pełni występuje Andriejew, jako niedościgły mistrz słowa w literaturze rosyjskiej, taki cudotwórca, jakim jest dla nas Żeromski. Dość przypomnieć opis zamieci. Wydaje się (użyję jego własnego zwrotu), że „w każdem zdaniu, prócz jego prostej treści, jest coś, czego nie wyrażają słowa, jakaś poza niemi tajemnicza, ciemna głębia bezdenna“. Pod tym względem obok „Życia“ stanąć mogą tylko chyba „Mur“, „Dzwony na trwogę“.

Od szerokiego, biblijnego chwilami rytmu tych opowiadań potrafi przejść Andrejew do codziennej szarzyzny pojęć i myśli takiego Siergieja Piotrowicza i oddać je z całą dokładnością. Siergiej Piotrowicz myśląc naprzykład o śmierci, „myśli o gospodyni, która jutro zobaczy jego trupa i o tem, jak to on będzie leżał i wyglądał“. I przez skojarzenie pojęć przypomina mu się chwila z dzieciństwa — śmierć wuja, który umarł w ich domu. „Siergiej Piotrowicz widzi stół, na którym jadano zwykle obiad, a na stole zwrócone ku drzwiom nogi wuja w białych, nicianych skarpetkach“. Widział je przez sekundę, ale zapamiętał nazawsze i „przez długi czas śmierć samą wyobrażał sobie w kształcie nieobutych stóp w białych, nicianych skarpetkach“. Podobnie, jak dla Zeni w „Otchłani,“ nieskończoność jest długim, bez końca szeregiem wozów.

Czasem lubuje się Andrejew we własnej mocy, czyniącej rzeczy nieprawdopodobne prawdziwemi, a brutalne tragicznemi. Wtedy tworzy takie sceny, jak ostatnia w „Otchłani“, gdzie całe stronice poświęca opisom szczegółów ohydnej zbrodni. Obok tego i „Otchłań“ i „We mgle“ obfitują w pierwszorzędne piękności, w skarby obserwacyi. Walka czystego uczucia, świtającego w duszy Rybakowa, który już zdążył się był zanurzyć w błoto życia, jego rozpacz, wywołana przeświadczeniem, że niema dlań ratunku z otchłani — należą do najświetniejszych kart w dziełach Andrejewa. Zdzierając zasłonę ropnych ran kwestyi płciowej, nie zapomina on „przy całym realizmie o szukaniu człowieka w człowieku“ (Dostojewskij).

NOWE KSIĄŻKI

— L. Gumplowicz: **Psychologia dziejopisarstwa**, str. 29.

Autor, uzasadniając swoją teoryę dwupierwiastkowości narodu i pochodzenia szlachty od najeźdźców, tak kończy:

„Głównie ta okoliczność, że między szlachtą a resztą ludu małżeństwa prawnie nie były ważne, jest najlepszym dowodem, że szlachta pierwotnie była obcym w kraju żywiołem, która opanowawszy kraj w interesie utrzymania się przy władzy, musiała strzedz odrębności swej i unikać wszelkiego zmieszania się z wrogim jej żywiołem krajowym.

Najpierwotniejsze prawno-państwowe instytucye, jako to: obszarnictwo, darowizny i nadania królewskie na rzecz kościołów i klasztorów, uprzywilejowana klasa szlachecka, zakazy małżeństw między szlachtą a ludem, są tak bezpośrednimi wynikami najazdu i podboju kraju przez obce szczepy, że właściwej istoty tych instytucyj ani pojąć, ani naukowo ocenić nie można, nie wywodząc ich z tego prawdziwego ich źródła, tj. z ujarzmienia ludności krajowej przez obcych najeźdźców. Wszelkie inne tłomaczenie tych instytucyj, wszelkie zatuszowanie pierwotnej różnicy i odrębności plemiennej między obcymi najezdnikami i ujarzmionymi krajowcami zaciemnia istotę całego tego procesu historycznego i czyni go niezrozumiałym. A jednak dziejopisarstwo narodowe zawsze i wszędzie stara się wszelkimi sposobami z tego całego łańcucha dziejowego, w którym pojedyncze ogniwa ściśle z sobą się łączą, jakby wkute jedno w drugie, pierwsze zasadnicze ogniwo wyłamać, przez co cały szereg następnych zjawisk społeczno-politycznych staje się niewyjaśniony i jak gdyby zawieszony w powietrzu.

Podczas kiedy wszelkie inne nauki starają się zawsze o wykrycie pierwszych, prawdziwych przyczyn zjawisk, dziejopisarstwo narodowe zawsze i wszędzie usilnie się stara, aby tę pierwszą przyczynę zjawisk społeczno politycznych w państwie zaciemnić i zatrzeć. Czyni to ono dlatego, ponieważ w pierwszym rzędzie ma na oku cele polityczne, narodowe i społeczne, nie zaś naukowe. Dążenie do tych celów nienaukowych jest duszą dziejopisarstwa, a znajomość tej duszy stanowi jego psychologię, która zatem jest najważniejszym kluczem do rozwiązania licznych zagadek, zadanych nam przez cały proces dziejów ludzkich. Jedynie taka psychologia mogłaby być pewnym przewodnikiem przez labirynt dziejopisarstwa średniowiecznego i nowszych czasów, które gwoli najrozmaitszym tendencyom, dyktowanym przez interesa świeckiej czy kościelnej władzy, pojedyńczych klas czy dynastyj, pozacieniało prawdziwe fakta historyczne i na ich miejsce powymyślało najrozmaitsze fałsze i bajki niezgodne z naturalnym przebiegiem procesu dziejowego.“

— Kazimierz Wroczyński: **Circenses**. Warszawa, 1904. Centnerszwer i Sp.

Wśród nawału różnych zbiorków poetycznych utwory p. Wroczyńskiego wyodrębniają się tem przedewszystkiem, że czuć w nich człowieka, który rozumie piękno i ma siłę mu służyć. Znać tu łamanie się z formą, szukanie własnego słowa; widać wpływ innych, lecz jest i głos prawdziwej poezyi, miejscami niepoślednia siła, pewien rytm muzyczny. Niema tu jeszcze porywającego słowa twórcy, który znalazł swój oręż, lecz słychać szamotanie się duszy artysty, rwącej się ku światu, ku uzewnętrznieniu. „Mocą duch pijany, pan możny bawić się zapragnie w los nędzarza, a iżby litość wzmógł, odwieczne swoje rany z dumnego płaszcza krwi odsłonić się odważa.“ A z czasem duch — pan ów możny pozna, co krew, że moc jego to twórczość, a rany to męka, z której narадza się — piękno.

Wiersze te są przemówieniem talentu. Jaki los spotka go na morzu życia — o tem prorokować niepodobna. Czy wpadnie w prąd i popłynie, kędy inni płyną zmarnotrawić swe siły w manierze i pozie, czy dojdzie do źródeł życia twórczego i pozna, którędy droga dla tych, co służą pięknu? Dziś to, co nam dał, choć niepozbawione cech twórczości innych, zawiera, wyrywającej się ściślejszemu określeniu, znamię talentu, borykającego się z przeciwnościami, lecz szczerze, głośno mówiącego o swem istnieniu.

— Adam Stodor: **Adoracya**, poezye. Stanisławów, 1905.

Jeszcze jeden zbiór wierszy, o którym niewiele powiedzieć można. Znać pewną dbałość o formę zewnętrzną, dążenie do wyszukanego rytmu; znajomość tego, o czem obecnie piszą poeci i ich naśladowcy. Lecz po za tem — nic. Niema twórczości, dającej objawienie piękna, niema ciepła artystycznego. Mroźno tu i sucho. Żaden temat nie pomoże, żadna zgrabność wysłowienia nie zastąpi owej barwy, która szczerą, prawdziwą poezyę odróżnia od rzeczy zimnych i martwych. *B. B.*

— Pod tytułem: **L'Exposition des Primitifs Français** ukazał się pokaźny i bogato ilustrowany tom pióra Jerzego Lafenestre, w którym uczony konserwator galeryi obrazów paryskiego Luwru kreśli historyę i rozwój sztuki francuskiej z epoki Walezyuszów, szczegółowo zastanawiając się nad ówczesnymi mistrzami w rodzaju Jana Fouqueta, Mikołaja Froment, Bourdichon'a, Jana i Franciszka Clouet itd. Praca ta skupia w sobie wyniki urządzonej tego lata w Paryżu wystawy tak zwanych „prymitywów“ francuskich, która żywe obudziła zajęcie w kołach artystów i historyków sztuki i wielkiem cieszyła się powodzeniem.

— Wzrastające w Niemczech zainteresowanie się kwestyami wychowania estetycznego oraz próbami szczepienia kultury artystycznej w pokoju dziecinnym i gmachu szkolnym wywołało potrzebę specyalnego w tym zakresie organu peryodycznego. Nakładem Aleksandra Kocha w Darmsztadzie, dość znanego wydawcy literatury artystycznej, zaczyna wychodzić w tym celu pismo ilustrowane, miesięczne p. t. *Kind und Kunst*, poświęcone wyłącznie znaczeniu i pielęgnowaniu pierwiastku sztuki w życiu dziecięcem, oraz pokrewnym przedmiotom i zagadnieniom. Liczne grono wybitnych artystów, estetyków i literatów niemieckich przyrzekło swoje współpracownictwo i wyraziło wydawcy uznanie z powodu tak sympatycznego przedsiewzięcia. *P. E.*

POEZYE

By stado mew...

Na beznadziejnych tęsknot fali
Wspomnień obłędna skra się pali...
Skrzypcowe struny łkają w dali—
Drga rzewny śpiew.

Z tkanych gwiazdami nieb roztoczy
Bóstw tajemnicze patrzą oczy
Na ziemię, śniącą w mgieł pomroczy,
W poszumie drzew...

Marzę... W kraj wizyj lot sokoli
Rwie mię... Niepomny, jak mnie boli
Krwawiąca rana mej niedoli...
Lecz skrzypiec śpiew

Powraca z dali łzawy, mięki...
I nurza mnie we wspomnień męki...
W duszy wirują jutra lęki,
By stado mew. .

Stefan Wodziński..

SPRAWY EKONOMICZNE

NOTATKI EKONOMICZNE

— Nasza szczupła literatura ekonomiczna została wzbogacona zeszytem bilansu handlowego Królestwa Polskiego, który obejmuje materyały surowe i półfabrykaty, nader sumiennie i przystępnie przez autora opracowane.

Stworzenie takiego bilansu jest rzeczą pod każdym niemal względem uciążliwą u nas, gdzie brak źródeł i cyfr wiarogodnych, a statystyka kolejowa często różni się z celną co do wartości i klasyfikacyi danego materyału, niemniej przyznać musimy, że autor przezwyciężył wszystkie owe trudności.

Podając bilanse grup poszczególnych, jak: towary leśne, materyały opałowe, rudy oraz metale, chemikalia, materyały zwierzęce, włókniste itp., autor kończy swą pracę ogólnym bilansem Królestwa, który w cyfrach przeciętnych tak się przedstawia:

	W stosunku		
	z zagran.	z Cesarst.	Ogółem
1) Zboże i mąka . .	+11,0	—26,0	—15,0
2) Artykuły spożywcze i napoje . .	+10,0	—25,0	—15,0
3) Materyały surowe i półfabrykaty	—35,0	—25,0	—60,0
Ogółem	—14,0	—76,0	—90,0

Widzimy więc, że kraj nasz w końcu XIX wieku dopłacił za artykuły spożywcze (zeszyt II bilansu) i materyały surowe olbrzymią sumę 90 mil. rubli; to saldo ujemne pokrywać się winno nadwyżką z eksportu przerobionych w naszym kraju materyałów.

W r. 1875 bilans ówczesny, według obliczeń Poznańskiego, zapewniał Królestwu Polskiemu 25 mil. zysków; w obecnych warunkach powinno ich być najmniej 125 mil., inaczej bowiem należałoby przypuszczać, że w kraju naszym nastąpiło pogorszenie stosunków handlowych. Miejmy nadzieję, że tak nie jest. Zobaczymy, jakie cyfry da nam zeszyt czwarty.

Do prac ekonomicznych musimy również zaliczyć „tabele wywozu rolnego gubernii Siedleckiej,“ ogłoszone niedawno przez p. A. Makowskiego, obywatela tamtejszych okolic. Gdyby za przykładem p. Makowskiego poszli mieszkańcy innych części naszego kraju, mielibyśmy bogaty materyał statystyczny, którego brak nieustannie daje się odczuwać dziś, gdy wszystko opiera się na cyfrach. Może więc dobry przykład zachęci innych.

Ar.

NA MARGINESIE.

Dziwny człowiek. W tygodniku niemieckim *Die Soziale Praxis*, organie centralnym „socyal-polityków,“ czyli ludzi, pragnących łagodzić, a w razie możności i leczyć, teraźniejsze cierpienia społeczne bez zmiany całego ustroju ekonomicznego i politycznego, znajdują się często artykuły ciekawe i pouczające. Z krytyką istniejących stosunków i prawodawstwa łączy się tam wypracowywanie nowych projektów, podawanie różnych pomysłów praktycznych. Z jednym z takich pomysłów wystąpił niedawno w tem piśmie dr. Richter, lekarz okręgowy w Remscheid — taki sobie prowincyonalny lekarz, który utrzymuje widocznie ścisłą łączność z życiem społecznem i umysłowem swego narodu i uważa sobie za obowiązek także się do niego przyczyniać. Dr. Richter, jako lekarz-urzędnik, miał do czynienia wiele z mieszkaniami robotniczemi i zna dobrze ich nędzę oraz wszystkie z niej płynące następstwa: choroby, opuszczenie ogniska domowego przez ojca i męża, demoralizacyę dzieci i młodzieży, pijaństwo. Wie też bardzo dobrze i zaznacza to, że filantropia, najlepsze chęci osób prywatnych na to wszystko nie poradzą, zła nie wykorzenią, że do tego koniecznie jest potrzebny cały szereg środków państwowych, prawodawczych i administracyjnych, mających na celu wyzwolenie lokatorów od ucisku wysokiej renty gruntowej, budowanie tanich i odpowiednich mieszkań itd. Ale pomimo to do prywatnej inicyatywy przywiązuje dużą wagę, bo ona może uzupełnić środki prawodawcze i być przewodnikiem między nimi a życiem. Więc pyta w tytule swego artykułu: „Co można zrobić, żeby nauczyć rodziny robotnicze utrzymywania swych mieszkań w lepszym stanie?“ Robotnica-gospodyni, przeciążona pracą, mająca zadużo dzieci, zamało pieniędzy i czasu, traci też nieraz energię i nie może utrzymać mieszkania w należytej czystości, porządku, a cóż dopiero mówić o jakimś estetycznym wyglądzie. Zapuszczenie gospodarstwa przybiera szczególnie ostrą formę wtedy, gdy robotnica jest chora. Na ten wypadek w niektórych miejscowościach Niemiec istnieją już stowarzyszenia pomocy w gospodarstwie domowem: same uczestniczki stowarzyszenia, albo czasem płatne wyręczycielki idą do dotkniętego chorobą matki domu i zastępują ją przez jakiś czas, ratując rodzinę robotniczą od zupełnego rozprzężenia. O tych usiłowaniach pisaliśmy już kiedyś w *Prawdzie*. Otóż dr. Richter chce, żeby coś podobnego robiono i po za chorobą, w czasach „normalnych“ — jeśli życie rodziny robotniczej normalnem nazwać można. Chce — proszę tylko posłuchać! — żeby kobiety, młode panienki z „towarzystwa,“ łączyły się w stowarzyszenia w celu kolejnego wyręczania przepracowanych robotnic w gospodarstwie domowem, i w tem widzi jedyny sposób, w jaki inteligencya mogłaby się osobiście i bezpośrednio przyczynić do lepszego urządzenia i utrzymania mieszkania rodziny robotniczej, tej podstawy wielu dobrych i pożądanych rzeczy. Ba! mówi nawet dosłownie: „Tu, zdaniem mojem, otwiera się nowe, wspaniale do kobiecych zdolności dopasowane pole działania dla tysięcy sił, leżących odłogiem lub zużywających się w czynności, dla nich samych niezadawalającej...“

Co za dziwny człowiek! Jakie przestarzałe i filisterskie pojmowanie zadań kobiety! Co za dziwaczna chęć rozmieniania obowiązków inteligencyi wobec ludu na drobną, natychmiast wypłacalną monetę! Ci „ludzie praktyczni“ — jakimiż oni są niepoprawnymi utopistami!..

Wszystko to prawda. A jednak — może w *jego* kraju projekt dziwnego człowieka zostanie urzeczywistniony?.. *R.*

Zwyrodnienie w Anglii. Sprawozdanie Komisyi wychowania fizycznego, przeczytane w Izbie wyższej przez hrabiego of Meath, dało powód do bardzo ciekawych rozpraw. Na podstawie danych, dostarczonych przez pobór wojskowy w r. 1902, trzeba uznać za rzecz stwierdzoną znikczemnienie fizyczne klas pracujących w Anglii. W 1851 r. ludność miast Anglii i Walii wynosiła 8,990,000 osób na 17,927,000 ogółu ludności. Po roku 1891 stosunek ten tak się już odmienił, że na 32 mil. całej ludności w miastach mieszkało 77 proc., tj. 25 mil. Życie miejskie, byle w dobrych warunkach, nie przynosi krzywdy organizmowi. Statystyka wykazuje, że dzieci bogatych, w jednym wieku z dziećmi biednych, przewyższają te ostatnie wzrostem i wagą. Zauważono również, że rodziny biednych londyńczyków wymierają już w czwartem pokoleniu, a więc ludność miast się zmniejsza, jeśli ze wsi nie otrzymuje zasiłku. Z ogólnych spostrzeżeń wynika, że w przeciągu ostatnich lat 30 liczba urodzin obniżyła się w sposób niepokojący. Jeszcze w r. 1881 młodzież poniżej lat 15 wynosiła 36 proc. całej ludności, w r. 1901 już tylko 32 proc.; a więc dzieci ma obecnie Anglia o 1,100,000 mniej, niż mieć powinna. Wśród ludności wiejskiej objawy znikczemnienia fizycznego niemniej niepokojąco występować zaczynają. Na 49,000 rekrutów, powołanych ze wsi, 15,000 okazało się niezdatnych do służby. (Z *Międzynarodowego miesięcznika do badań nad alkoholizmem*).

Walka ras wśród klasy robotniczej. Wychodźcy z Węgier, Kroacyi, Słowacyi i Serbii, kulturalnie bardzo zacofani, a przeto zadawalający się lichem wynagrodzeniem za swą pracę i wskutek tego chętnie widziani przez amerykańskich mocarzy węglowych i stalowych, nienawistnie przyjmowani są jednak przez ogół, a szczególniej organizacye robotnicze w Ameryce. Te ostatnie w walce z pracodawcami pokonywały ich zwykle dotąd groźbą strajku. Tej broni pozbawiło je jednak owo „najście Hunnów," nędznych słowiańskich „scabs" (jak nazywają nienależących do Związku), którzy chętnie pracują za odrzucone przez robotnika amerykańskiego wynagrodzenie. W ostatnich czasach były nawet z tego powodu *krwawe rozruchy robotnicze*, w których wielu Słowaków śmierć znalazło. W stanie Kolorado robotnicy, należący do związku, wysadzili dynamitem dworzec kolejowy, gdzie przybyć miał pociąg, wiozący wychodźców. I tam więc nienawiść i wzgarda życie tych biedaków cierniami usłała — piszą *Neuste Nachrichten* z Lipska.

Z PRASY

— *Gazeta Finlandzka* podaje następujące sprawozdanie o procesie byłego senatora Schaumana, oskarżonego o zdradę stanu:

„We wtorek, d. 12 (25) października, hofgericht w Abo zaczął przy drzwiach otwartych rozpatrywać sprawę b. senatora finlandzkiego i generał-lejtnanta sztabu generalnego armii rosyjskiej, Fryderyka Waldemara Schaumana, w wieku lat 60, oskarżonego o zdradę stanu. Publiczność dopuszczona była za biletami; dwa pierwsze rzędy krzeseł zajęli krewni oskarżonego.

Punktualnie o godz. 10 rano weszli sędziowie. Oskarżony, b. senator Schauman, wprowadzony został w towarzystwie dyrektora więzienia gubernialnego w Abo, Emana; ubrany w czarny surdut, usiadł obok p. Emana przy stoliku na prawo od sądu. Z drugiej strony tegoż stolika siadł obrońca, b. senator, baron Langenskiold. Rozpatrywanie sprawy rozpoczęto od odczytania memoryału oskarżającego, opracowanego przez adwokata - fiskala i wniesionego do hofgerichtu w d. 4 (17) października. Z dokumentu tego okazuje się, że podczas rewizyi, dokonanej przez policyę w mieszkaniu podsądnego w d. 4 (17) czerwca r. b., w dzień śmierci generał-gubernatora finlandzkiego, generał-adjutanta, N. S. Bobrikowa, zabitego przez syna podsądnego, Eugeniusza Schaumana, oprócz mnóstwa książek i broszur treści rewolucyjnej, znaleziono włożony do książki „Finland Grundlaga," własnoręcznie przez b. senatora Schaumana napisany plan urządzenia w całej Finlandyi tajnych towarzystw strzeleckich. Plan całej organizacyi niedokończony był w znalezionym rękopisie, lecz jego urzeczywistnienie wyszło na jaw w papierach, znalezionych w 1903 r. podczas rewizyi u wyborgskiego doktora filozofii, Juliusza Lula i w długim szeregu listów, zabranych u Fryderyka i Eugeniusza Schaumanów.

Po tym referacie, który zajął około 2 godziny, zaczęło się badanie podsądnego, naprzód przez przewodniczącego, potem przez adwokata-fiskała (prokuratora). Na pytania osobiste Schauman oświadczył, że urodził się 10 października 1844 r., nauki pobierał w finlandzkim korpusie kadetów, skąd w r. 1866 wyszedł w randze podporucznika, potem służył w armii rosyjskiej. Był referentem przy ministeryum wojny do spraw armii finlandzkiej, w r. 1889 mianowany został naczelnikiem sztabu generał-gubernatora finlandzkiego dla wojsk finlandzkich; w r. 1893 został gubernatorem wazaskim i otrzymał awans na generał-majora; od r. 1896 do 1900 był senatorem i naczelnikiem komisyi milicyjnej Cesarskiego senatu finlandzkiego, a nadto w r. 1898 awansował na generał-lejtnanta. W r. 1900 na własną prośbę przeszedł do emerytury i przemianowany został na radcę tajnego. Po wyjściu ze służby przebywał w domu, żadnemi sprawami postronnemi nie zajmował się, w zebraniach politycznych udziału nie brał, broszury rewolucyjne otrzymywał z poczty, nie wiedząc od kogo, ale wydawnictwo tajne *Fria Old* prenumerował. Do winy się nie przyznaje. Plan organizacyi napisał dla zabicia czasu, pod naciskiem napływających myśli, ale nie nadawał mu znaczenia praktycznego, nikomu nie pokazywał, z nikim się nie radził. Gotów jest się zgodzić, że myśli, wyłożone w planie, są występne, ale za myśli nie jest się sądzonym. Z doktorem Lulu znał się pobieżnie; o znalezionych u niego papierach nic nie wiedział. O zamiarach i postępkach syna swojego Eugeniusza, człowieka charakteru skrytego, nie miał wyobrażenia; za wyrażenia w listach syna Pawła (o powstaniu w Finlandyi) nie jest odpowiedzialny; korespondencyę Eugeniusza Schaumana o wysłaniu strzelb i nabojów tłomaczy sobie jego zamiłowanie do sportu strzeleckiego i obowiązkami sekretarza Towarzystwa łowieckiego.

Odpowiedzi swoje podsądny dawał z początku spokojnie i z namysłem; później jednak silnie się wzruszał, ciągle pił wodę, ocierał pot z twarzy.

Po ukończeniu badania obrońca Langenskiöld prosił sąd o zwolnienie Schaumana z pod straży wobec jego sędziwego wieku i starganego zdrowia i oświadczył, że podsądny nie skorzysta z wolności ani dla ucieczki, ani dla zniszczenia dowodów swej winy. Po naradzie, która trwała blizko 50 minut, sąd zobowiązał adwokata fiskalnego do wezwania świadków oskarżenia na d. 26 października (8 listopada), a prośbę obrońcy o uwolnienie Schaumana odrzucił, ponieważ według prawa o procedurze, przy występkach ważnych, karanych ciężkiemi robotami, nie może być pominięte przypuszczenie o możliwości ucieczki.

— W *Gońcu porannym* korespondent z placu boju przytacza opowiadanie dr. Witkowskiego:

„Noc spędziliśmy na koniu. To była straszna noc. Bój artyleryi trwał wciąż. A noc była ciemna, dżdżysta. Kierując się słuchem, skąd i gdzie padają pociski, zmienialiśmy w ciemnościach pozycye. Nad rankiem wróciliśmy na dawne miejsce z dnia poprzedniego. I wtedy rozpoczęła się robota, której opisać nie sposób, którą trzeba przeżyć, ażeby mieć o niej najlżejsze pojęcie.

Na posterunku leżały całe masy jęczące. Przynoszono wciąż nowych rannych. Dość powiedzieć, iż w ów okrutny dzień 31 sierpnia w naszym pułku było, jak urzędownie stwierdzono, aż 480 ranionych!

A było na to tylko dwóch lekarzy. I staliśmy w błocie. Dokoła otaczały nas: krew i szaruga. Wody czystej ani źdźbła. Nasze ręce były w glinie i krwi. A umyć nie było czem.

Tymczasem ranni leżeli, klęczeli, stali, płakali, biegali, wyli. Gdym pospiesznie przewiązywał ranę jednemu, drugi na klęczkach wyciągał ku mnie dłoń o pomoc. Ten z oderwaną szczęką, ów bez ręki lub nogi, z wywalonemi wnętrznościami, z przebitą piersią, złamaną kością pacierzową... W każdych oczach omdlałych czytałeś błagania o ratunek. Czuło się modlitwy nieme o cud, jękliwe prośby o ulżenie cierpieniom. Robiło to tak straszne wrażenie, że w pierwszej chwili miałem niepohamowaną chęć uciekać, uciekać jak najdalej od tego okropnego miejsca śmierci! Nigdy żaden lekarz nie ujrzy tyle mąk i nie jest tak bezradny, jak na posterunku opatrunkowym w one straszne dni artyleryjskiego boju!

Upadaliśmy ze znużenia. Zbrukanemi rękoma przewiązywaliśmy ziejące krwią i błotem rany. O przemyciu ran, wobec braku wody i środków dezynfekcyjnych, na razie nie można było myśleć. Szło jedynie o pospieszne zatamowanie krwi i pospieszne ekspedyowanie rannych na dwukołowych wózkach do ambulansów, rozłożonych o kilka wiorst w tyle.

Granaty i szrapnele ryczały. A na błotny posterunek opatrunkowy przybywali wciąż nowi — jęczący, zbolali kalecy..."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Generał-gubernator warszawski zabronił noszenia kastetów, lasek z ciężką gałką lub ukrytą bronią. Winni karani będą administracyjnie grzywną 500 rb. lub aresztem 3-miesięcznym. Postanowienie obowiązuje Warszawę i jej powiat, Łódź, Częstochowę, Tomaszów i powiat Będziński.

— *Warsz. Dn.* donosi: Dn. 23 października o godz. 5 pp., zebrany po za granicami miasta, w pobliżu cmentarza wolskiego tłum ruszył ku miastu z hałasem, rozrzucając po drodze proklamacye. Około rogatek wolskich pochód wstrzymany został przez oddział policyi, który został zasypany kamieniami i skutkiem tego zmuszony był użyć broni palnej, poczem tłum rozproszył się i kilku jego przewódców zaaresztowano. W czasie starcia zostali ranieni kamieniami: komisarz 7 cyrkułu, ss. kol. Foks, i pomocnik komisarza, kap. Ałfierow; zabity został kamieniem st. dozorca [illegible]rowy, Lewandowski.

— Szkołom ludowym pozwolono zajmować się agenturą ubezpieczeń na życie.

— W d. 19 b. m. około 7 wieczorem, do kancelaryi komisarza cyrkułu I w Białymstoku wszedł robotnik i rzucił pocisk; nastąpił silny wybuch. Sprawca zamachu zabity, ranni: sekretarz i jego pomocnik, rewirowy, policyant i dwie osoby prywatne, znajdujące się w lokalu cyrkułu. Silnie ucierpiał lokal, meble zdruzgotane, szyby wybite nawet w domach sąsiednich. Według doniesienia *Warsz. Dn.* sprawcą zamachu był Żyd 19 letni, niewiadomego nazwiska; do wykonania swego planu wybrał on taką chwilę, w której zbierają się wszyscy urzędnicy policyjni.

— Za usiłowanie wywołania rozruchów antiżydowskich w Jekaterynosławiu, gubernator miejscowy skazał w drodze administracyjnej 6 osób na areszt dwumiesięczny, 1 na miesiąc, 7 na trzy tygodnie i 2 na dwa tygodnie.

— Chasydzi łódzcy założyli związek zwalczania wśród rodzin żydowskich zbytku, ujawniającego się w noszeniu drogich klejnotów, kosztownych strojów i wyprawianiu hucznych wesel.

— Pisma poznańskie ogłosiły pochwałę rodziny włościańskiej Jeske z Jerzyc pod Poznaniem, w której

ona wyrzeka się jednego z członków swoich, księdza Andrzeja Jeskego i usuwa z grona rodzinnego. Rodzina daje wyraz głębokiemu oburzeniu z powodu postępowania księdza J. i kończy odezwę: „Urodziliśmy się Polakami i pozostaniemy nimi wraz z wszystkimi potomkami naszymi.“ Ks. Jeske w swoim czasie przybrał w chorągwie plebanię i iluminował ją w rocznicę bitwy pod Sedanem, a skrytykowany za to w prasie, ogłosił list, w którym rzucił obelgi na całe społeczeństwo tamtejsze.

— Według spisu ogólnego w r. 1901, ludność Francyi wynosiła 38,961,945 osób, o 444,613 więcej, niż w r. 1896.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty wezwało zarządy ziemstw powiatowych do wyrażenia opinii, jak prędko i w jaki sposób dałoby się zaprowadzić obowiązkowe nauczanie powszechne.

— W Pilznie otworzono wieczorne kursy języka polskiego dla uczniów szkół średnich. Wykłady prowadzi prof. F. A. Horn.

— W gimnazyum II w Petersburgu zaprowadzono naukę pływania, jazdy konnej i strzelania z karabinów dragońskich.

— Spodziewane jest podwyższenie procentu studentów Żydów we wszystkich uniwersytetach.

Zdrowie publiczne. W *Gaz. Polskiej* czytamy: W sprawie ulepszenia szpitalnictwa w Warszawie, inspektor lekarski szpitali miejskich przedstawił Radzie miejskiej nowy memoryał, w którym wskazuje ograniczenie samodzielności intendentów szpitalnych. Zarząd gospodarstwem szpitalnem powinien być powierzony komitetom gospodarczym pod przewodnictwem kuratora szpitala z udziałem naczelnego lekarza, intendenta i jednego z ordynatorów.

Literatura i prasa. Księdzu J. Ambrożewiczowi w Wilnie pozwolono wydawać w języku litewskim miesięcznik p. t. *Pszczelarz litewski.*

— *Jurid. Gaz.* donosi: Od Nowego Roku funkcyonować zacznie w Petersburgu „państwowe biuro prasy“, instytucya specyalna, której zadanie ma polegać na zaspakajaniu potrzeb społeczeństwa w udzielaniu różnych wiadomości i na podporządkowywaniu treści informacyj telegraficznych do celów państwowych i narodowych. Biuro już jest zorganizowane. Będzie ono utworzone przy zarządzie głównym do spraw prasowych, pod kierunkiem specyalnego dyrektora

— Redaktor i wydawca *Swiata*, W. Komarow, skazany został na 40 dni wieży za to, że w piśmie swem baletnika teatrów Cesarskich w Moskwie, A. Carmana nazwał, „przebiegłym żydkiem“ oraz zarzucił mu nieuczciwą grę w karty i utrzymywanie wesołej szkoły tańca.

Ze sztuki. Tow. Zachęty ogłosiło konkurs im. Józefa Kuryerowa, z nagrodą 360 rb., za utwór malarski lub rzeźbiarski, osnuty na tematach polskich, wykonany przez artystę pochodzenia polskiego. Termin nadsyłania utworów oznaczono na d. 15 marca, rozstrzygnięcie konkursu na d. 19 marca 1905 roku.

— W Tow. Zachęty otworzono wystawę pośmiertną dzieł Józefa Simmlere.

— W Wilnie powstaje Tow. artystyczno-przemysłowe, które zakładać będzie szkółki rysunkowe, pracownie rzemieślnicze, muzea, wystawy itp. w guberniach miejscowych.

— Dnia 30 z. m. odsłoniono uroczyście pomnik Mickiewicza we Lwowie.

— Krakowskie Tow. „Polska sztuka stosowana“ ogłosiło konkurs na projekt urządzenia gabinetu męzkiego w stylu swojskim. Nagroda za całość 900 koron albo 600 koron za umeblowanie i 300 koron za dekoracyę. Termin do d. 15 lutego 1905 r. Taż sama instytucya d. 15 grudnia r. b. urządza w Krakowie wystawę artystyczno-drukarską, i wzywa do udziału w niej drukarzy, litografów, wydawców i artystów polskich. Jednocześnie urządzona będzie wystawa starych druków polskich.

Z muzyki. Na konkursie im. K. Wołodkiewicza na operę „Marya“, osnutą na tle poematu Malczewskiego, nagrodę 5,000 rb. przyznano p. Romanowi Statkowskiemu.

Koleje i komunikacye. Dochód kolei Nadwiślańskich za pierwsze półrocze r. b. wynosił 11,355,751 rb., przewieziono 2,327,000 osób, o 300,000 mniej, niż w takimże okresie roku zeszłego.

Poczta. Główny zarząd poczt zawiadamia, że dla jeńców wojennych można przesyłać bezpłatnie pakiety, ważące najwyżej 12 funt. 6 łutów, wartości do 375 rb.

— Od listopada r. b. zaprowadzona będzie wymiana przekazów pieniężnych z Holandyą, do wysokości 128 guldenów holenderskich.

SPROSTOWANIE. W nr. 43 drukowany wiersz „Śród gwiazd“ jest przekładem z A. Feta.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою Варшава, 21 Октября 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.